N. 30. WARSZAWA d. 15 (27) Lipca 1872 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru.

ZE WSPOMNIEŃ KOBIETY

POWIEŚĆ

ORYGINALNIE NAPISANA

przez

Marję Dekalk.

Wspomnienia przeszłości, to niewyczerpana skarbnica rad i wskazówek na przyszłość. Przebiegając myślą dzieje całych narodów, lub skromną historję pojedynczego człowieka, zarówno można coś skorzystać; opierając i wyrabiając własne zdanie na doświadczeniu tych, którzy przebyli już drogę nieznaną nam jeszcze i przedstawiającą się tylko przez złudną mgłę wyobraźni, łatwiéj uniknąć błędów i przykrości życia, jakie z zupełnéj nieświadomości wypływają, często raniąc boleśnie młode, pełne wiary i marzeń serca.—Te kilka słów umieściłam na wstępie, dla usprawiedliwienia zamiaru opowiadania mego; — są to kartki z rzeczywistego życia kobiety, historja cichych dni spędzonych w małem rodzinnem kółku, wśród zwyczajnych drobnych wydarzeń powszedniego życia. Przeznaczam je też do czytania przy świetle domowego ogniska.—Zaczynam od przypomnienia lat dziecinnych, które mi upłynęły słodko, spokojnie i swobodnie, wśród pieszczot kochającéj matki, w towarzystwie starszego o lat kilka brata, dobrego, ślicznego rozumnego chłopca, który także kochał do uwielbienia swoję jedyną siostrzyczkę. Ojca nie znaliśmy prawie, odumarł nas wcześnie, i tylko matka w długie zimowe wieczory opowiadała nam o jego pięknéj duszy i postaci, o głębokim rozumie i szlachetności, i zasmucała nas nakoniec opisem jego nagłéj śmierci; został bowiem zabity wypadkiem na polowaniu. Mój brat Marjan miał wtedy lat pięć, a ja dopiero kilka liczyłem miesięcy życia. Matka zostawszy w dwudziestu dwóch latach wdową wyrzekłasię własnego szczęścia i dla nas tylko poświęcającs wą młodość i urodę, wychowywała nas z staraniem i miłością najtkliwszéj, najlepszéj matki, jaka może się znaleźć w świecie. Mieszkaliśmy na wsi, w starym białym dworze otoczonym po staropolsku lipami,—po za ogrodem płynęła Warta jak modra wstęga wijąc się po łące. Na drugim jéj brzegu mały ładny lasek, stanowił ulubione miejsce naszych wycieczek. Przepływaliśmy łódką Wartę, która już w tem miejscu zaczynała być spławną, szukaliśmy w lasku poziomek, kwiatów i grzybów, wyprawiając codziennie małe podwieczorki w tem uroczem miejscu, i słuchając śpiewu ptaków złączonego z szumem rzeki.

W zimie, jeździliśmy na łyżwach, przestraszając szybkim lotem drogą naszą mateczkę, która nam zawsze towarzyszyła, dzieląc nasze zabawy jak starsza siostra. Była też jeszcze młoda i ładna, ręka czasu nie zdołała w niéj zatrzeć śladu świeżości młodzieńczéj, jaką do najpóźniejszego zachowała wieku. Szczupła, drobna, miała nieokreślony wdzięk w swojéj zręcznéj postaci, wdzięk dobroci i łagodnéj wesołości nie starzejący się nigdy. Charakter jéj był słodki, tkliwy, oczy duże błękitne jak niebo, miały wyraz niewysłowionéj pogody i rzewności, łza współczucia i odblask radości, następowały po sobie koleją w spojrzeniu dobrotliwem tych błękitnych źrenic. Są istoty stworzone do kochania, —moja matka była jedną z nich. Całe życie od kolebki przeszło jéj wśród uczucia, kochała rodziców, potem męża, późniéj nas, nakoniec świat cały, bo wszystkich uważała za swoją rodzinę. Cicha, spokojna, religijna, nie pragnęła nic dla siebie, nie miała innych dążeń prócz szczęścia ukochanych. Był to prawdziwy anioł stróż rodzinnéj strzechy. Brat mój Marjan, usposobieniem i twarzą bardzo był do niéj podobnym. Poeta, muzyk, zawsze tęskny i melancholijny, mógł służyć za wzór na Apollina, i często żartem dawałam mu to imię.

Matka i Marjan byli jedną duszą, jednem sercem w zgodny takt bijącem: ja trochę odrębną miałam naturę ojcowską, mówiła matka, całując moje czoło i oczy czarne, zupełnie według jéj twierdzeniu ojcowskim podobne. Byłam jednak zdania mego ojca, wyrażonego w jednym z listów pozostałych, że nie ma w świecie piękniejszych oczów nad błękitne, w oprawie czarnych rzęs i brwi, przy hebanowéj czarności włosów, jak mieli matka i Marjan. Oni znów uwielbiali moje złote warkocze, i kochali mię w dwójnasób za ciągłe przypominanie tego, który żył tylko w ich pamięci. Życie nasze było więtylko jednostajnem pasmem miłości i spokojnego wesela. Przywiązanie wzajemnie nam wystarczało, kochaliśmy się, rozumieli, razem bawili i płakali; było nam tak dobrze i miło, bez ludzi, od których matka po śmierci ojca usunęła się zupełnie.

Otoczenie nasze składało się z kilku starych przywiązanych sług, przyjętych jeszcze przez ojca. Nikomu nie przyszło do myśli, aby się mogło cokolwiek w urządzeniu domu kiedy zmienić,—a jednak zmiana ta musiała nastąpić. Dotąd matka uczyła nas sama, pracując nieraz całe godziny, aby nam udzielić jak najwięcéj ze skarbów wiedzy; gdy jednak Marjan skończył lat trzynaście, biedna matka musiała się zdobyć na heroizm konieczny, i oddać go do szkół. Mimo największych usiłowań nie zdołała już prowadzić daléj jego nauk, — i tak dla oszczędzenia bólu wcześniejszéj rozłąki, dokonała cudu macierzyńskiéj miłości, bo przygotowała go do trzeciéj klassy. Dawniéj jeszcze ojciec, uważany za bardzo wykształconego projektował, że będzie do lat trzynastu sam uczył Marjana. Po jego śmierci matka spełniła tę wolę; późniéj opowiadała, że najtrudniéj jéj było z łaciną i greczyzną, których uczyć się musiała przez lat parę, zanim mogła uczyć Marjana. Droga i święta matka moja!.. Wyjazd Marjana do Warszawy był pierwszą przykrością jaką zapamiętam. Odprowadziłyśmy go na stację kolei. Płacząc przy pożegnaniu byłyśmy smutne długo bardzo, aż list Marjana pocieszył nas doniesieniem o świetnem zdaniu egzaminu.

Odtąd co dwa tygodnie miałyśmy prawdziwe święto, odczytując długie i poczciwe listy naszego ukochanego chłopaka, a potem liczyłyśmy tygodnie, dnie i godziny dzielące nas od świąt Bożego Narodzenia, w które miał przyjechać, i przygotowywałyśmy różne niespodzianki.

Marjan, dziecko wychowane delikatnie, po kobiecemu, nie byłby sobie dał rady w świecie sam jeden. Szczęściem matka miała kuzyna w Warszawie, professora Szkoły Głównéj, który z radością wziął mego brata pod swoją opiekę.

Tak minęło lat kilka; Marjan skończył szkoły, następnie dwa kursa wydziału prawnego, gwałtem namówiony na to przez szanownego professora, bo nie miał wcale powołania na prawnika.

Jednéj niedzieli, było to w czasie adwentu, najsmutniejszéj pory w roku, odebrałyśmy list od Marjany, który już wyrósł na dwudziestoletniego młodzieńca, ale nic nie stracił ze swojej dobroci i tkliwości, choć odmienił się, trochę pobladł i spoważniał. Otóż napisał nam, że na święta przyjedzie z kolegą swoim i serdecznym przyjacielem Jarosławem. „Rodzice jego wyjechali na zimę do Włoch—pisał mój braciszek—uprosiłem go więc, aby spędził święta wśród rodziny tego, którego bratem serdecznym nazywa. Zna was z opisu i kocha, i wy moje najdroższe pokochacie go, bo to dusza wyższa i serce szlachetne.

Daléj pisał jeszcze długo, słowa miłe, tchnące przyjaźnią dla Jarosława, którego poznał pierwszego roku pobytu swego w Warszawie, i tysiące uczuciem dyktowanych frazesów dla matki i siostrzyczki. Dołączył do tego ogromne pudło modnych stroi od Włodkowskiéj, prosząc abym się w nie ustroiła.

Marjan często przysyłał mi podarunki, składające się z książek, nut, z małych drobiazgów do ozdobienia mego pokoiku. Po raz pierwszy obdarzył mię nowościami mody, któréj panowaniu nie ulegałyśmy wcale. Mateczka ubierała się czarno lub biało, ja biało lub niebiesko. Strój naszych sukien był prosty i zręczny, ale nie zastosowany do wybryków mody. Zdziwiłam się podarunkiem Marjana.

Mama skończyła czytanie listu i zawołała żywo ocierając łzę z oczów, wywołaną wzruszeniem.

— Ah! niech przyjedzie! przyjmę go jak drugiego syna! Dość dla mnie, że jest przyjacielem Marjana!

Stałam zamyślona nic nie mówiąc.

— Janko moja! czemuś taka zadumana... czemu nie oglądasz daru braciszka? spytała matka przyciągnąwszy mię do siebie i obejmując w uścisk serdeczny.

— Będzie jeszcze dość czasu na to, Mamo! odparłam.

— Janinko!—cóż tobie?

— Nic droga mamo, ale.....

— Mów dziecię!... co ci jest?

Nie zwykłam ukrywać myśli przed matką, całując ją wypowiedziałam, że list Marjana przykre mi sprawił wrażenie.

— List Marjana?..

— Tak droga mamo!... Pomyśl tylko—pierwsze święta spędzimy w towarzystwie kogoś obcego, obojętnego. Dotąd Marjanowi wystarczała cicha atmosfera naszego domku, rozkoszował się nią gdy mógł do nas powrócić—dziś on sam przywozi tutaj przyjaciela, aby mu uprzejemniał chwile tak rzadkie przecież, chwile samotności, we troje...

— Janko! zkąd tobie myśli takie?—to złe, niedobre uczucie zazdrości nieuzasadnionéj, i podejrzeń niesłusznych. Czyż pragniesz, abyśmy zawsze tak żyli odgrodzeni od reszty świata, kochając tylko siebie i żyjąc tylko dla siebie?....

— Tak mamo! wyznaję szczerze, pragnęłabym tego!

— To źle, moje dziecię! i gdybym nie sądziła, że to tylko mały przemijący kaprysik, miałabym sobie do wyrzucenia, że źle pokierowałem twoje wychowanie, trzymając cię w samotności, bez towarzystwa twojego wieku.

— Wybacz mi! moja ty droga!—przerwałam jéj tuląc głowę do jéj kolan: jeśli chcesz, będę zupełnie zadowolniona z naszego gościa!

— Ale czy szczerze, mała pieszczoto?

— Szczerze! jak cię kocham! odpowiedziałam.

— A z daru brata czemu się nie cieszysz?

— Bo... bo dlaczego przysłał mi stroje?

— Ależ Janko! to bardzo właściwe dla ciebie.

— Dla mnie mateczko?... strój, moda?

— Naturalnie, masz lat piętnaście, jesteś dorastającą dziewczynką, trzeba się ładnie ubierać.

— Czy biała suknia i kwiaty leśne, to nie ładny strój? spytałam żałośnie.

Matka się roześmiała.

—Ładny dla rusałki i nimfy, - ale ty Janko trzeba abyś się ubierała niekiedy jak młoda panienka należąca do mieszkańców świata.

— Mateczko! powiedziałam po chwili—dziś dzień samych przykrych niespodzianek. .

— Jakąż jeszcze znalazłaś—kapryśnico?..

— Niezgadzamy się w zdaniu!

Matka spojrzała na mnie uważnie.

— Będziemy się starali oboje z Marjanem, abyś zmieniła twoje wyobrażenia! powiedziała poważnie. Zamilkłam, i zaczęłam posłusznie rozpakowywać pudło i oglądać przysłane elegancje.

Dobry mój braciszek nie zapomniał o gustach swéj Janki, i obok sukien i kapeluszy znalazłam ślicznie oprawne tomy Słowackiego, Mickiewicza, i jednę z najnowszych powieści Kraszewskiego.

Chwyciłam książki, i cisnąc je do piersi wybiegłam do swego pokoju, aby je przejrzeć. Poezje były mi znane, wzięłam powieść, zaledwie jednak roztworzyłam książkę, wypadła z niej fotografja, odrywając moją uwagę od czytania. Sądziłam że to fotografja Marjana, który mi nawet obiecał ją przysłać: lecz omyliłam się, bo ujrzałam twarz nieznajomą młodego człowieka, o pięknem wyniosłem czole i ustach łagodnie uśmiechniętych. Nieznajomy był nieco starszy od Marjana, zdawał się mieć lat około dwudziestu dwóch; wyraz jego twarzy był inteligentny i sympatyczny i mimowolnie wpatrzyłam się w artystycznie odrobione rysy. Byłam młodziuchną, egzaltowaną dziewczyną, mało znałam rzeczywiste życie, wiele czytałam poezji i powieści, a obdarzona dość bujną imaginacją, lubiłam, grając w szarą godzinę wysnuwać różne marzenia z mej duszy i układać w głowie różne małe dramaciki i historje. I teraz przy zapadającym mroku zimowego wieczoru, z fotografją nieznajomego w ręku, poddałam się różnym fantastycznym rojeniom, których bohaterem był ten ktoś, którego nie znałam imienia. Jakie też mógł mieć imię? pytałam sama siebie: Jan, Ludwik, Emil, powtarzałam, patrząc za każdem wymówionem imieniem na fotografję. Nie odpowiedziałam. Miałam charakterystykę imion wysnutą czysto z wyobraźni, bo oprócz służących i księdza proboszcza z organistą, nie licząc ludzi zdala widzianych, nie znałam nikogo więcej. Nie! Jan to jakoś nie harmonizuje z temi rysami: każdy Ludwik musi być bardzo roztrzepany: Emil, jakiś mdły i ckliwy, a tu oczy nieznajomego patrzą tak jasno i rozumnie. W téj chwili przyszło mi na myśl imię przyjaciela mego brata.

— Jarosław; powtórzyłam, Jarosław—i znalazłam, że to nieznajomy może się tak nazywać. Ach! zawołałam nagle! a może to jest jego fotografja? Tak niezawodnie, zakonkludowałam, i byłabym znów zagłębiła się w marzeniu, gdyby nie kroki usłyszane za drzwiami. Jakby wykonywając cudzą wolę, otworzyłam skrytkę biórka i umieściłam tam obrazek znaleziony. Dzień ten liczył jeszcze jedną niemiłą dla mnie niespodziankę, gdyż po raz pierwszy zataiłam jakiś szczegół przed matką, nic nie mówiąc o fotografii. Coś mi wiązało usta.

Na drugi dzień ledwo otworzyłam oczy, mama weszła do mnie.

— Wiesz Janko, trzeba pomyśleć o urządzeniu pokoju dla gościa. Umieszczę go obok Marjana, w pokoju ze szklannemi drzwiami, ale pragnę go nieco ozdobić, bo pusty i bezbarwny. Pomóż mi, mój złoty ptaszku!

— Dobrze, mateczko moja najdroższa, odparłam, zajęłyśmy się przystrojeniem pokoju gościa i braciszka. Niekiedy przychodziła mi wątpliwość, czy to lub owo przypadnie panu Jarosławowi do gustu. Wtedy biegłam do biórka, otwierałam szufladkę i powracałam z miną pewną i tryumfującą. „On, "nie może nielubić tego, mówiłam do siebie, i zaspokojona tem twierdzeniem, urządzałam daléj według swego i mateczki gustu.

Na dwa tygodnie przed świętami, pokoje były gotowe, świeże na przyjęcie gości. Nie brakło w nich ani kwiatów co mówiły o wiośnie, ani książek które wabiły nazwiskiem autorów, lub różnych drobiazgów do wygody i zabawy służących.

Zazwyczaj przed przyjazdem Marjana, który lubił bardzo muzykę i sam był w niéj biegłym, uczyłam się jakiej nowej kompozycji, aby mu tem zrobić przyjemność. Jako poeta, ukochał Szopena i zwykle jego utwory stanowiły repertuar mój muzyczny. Teraz jednak wybrałam co innego, myśląc trochę o tym pierwszym gościu, mającym przerwać nasze jednostajne życie i wybrałam rondo capricioso Mendelsohna i sonatę Bethowena, dziwiąc matkę tym nagłym zwrotem do muzyki klassycznéj.

Wkrótce zapomniałam o niechęci jaką wywołał list Marjana, i z niecierpliwością czekałam świąt, aby nakoniec uścisnąć braciszka i ujrzeć p. Jarosława, który mi się wydawał już starą znajomością.

— Widzisz Janko! mówiła mama, pogodziłaś się z mojem zdaniem. Zupełnie to naturalne w twoim wieku, żeś ciekawą poznać trochę ludzi i świat, dotąd tylko widziany chyba we śnie.

— Otóż nie, mateczko! bo we śnie widzę zawsze tylko ciebie i Marjana, o żadnym świecie wcale mi się nie śni!

— I nie chcesz go poznać?

— Nie, mateczko! nam tak dobrze!

Serdeczny pocałunek zakończył rozmowę,—ale matka od tąd dość często pytała mię o to samo.

Na trzy dni przed wigilją Bożego Narodzenia, wysłałyśmy konie na stację po naszych gości.

Po południu, mateczka była zajęta, a ja wbiegłam do pokoju swego, z zamiarem poprawienia trochę tualety. Swietne stroje od Marjana leżały dotąd nietknięte. Zaczęłam je przymierzać, a spojrzawszy na rycinę mód spostrzegłam, że warkocze nie stosowne do takiej eleganckiej sukni. Uczesałam więc trochę inaczéj włosy, włożyłam cały strój wykwintny, i tak przebrana wybiegłam do mateczki.

— Ah! Janko! jakże ci ślicznie! zawołała z radością, widzisz, że i do tego się nakłoniłaś. Ale to ubranie nazbyt świetne na dzisiejszą uroczystość, dodała.

— Wiem mateczko! i zaraz go zdejmę,—to tylko próba.

— Ależ i przedstawienie nastąpi?

— Nie wiem, odpowiedziałam, i powróciłam do siebie.

Nie mogłam się jednak oprzeć chęci przyjrzenia się sobie małéj chwilki czasu.

Gdy jednak nasi goście stanęli przed gankiem, byłam już dawną Janką w niebieskiej krótkiéj sukience i warkoczach spuszczonych ze wstążką tegoż koloru.

Brat mój już klęczał u stóp mateczki, obejmując ją w uścick gorący, gdy stanęłam we drzwiach pokoju z bardzo mocno bijącem sercem. Miałam słuszność gniewać się na Marjana za sprowadzenie kogoś obcego do naszéj samotni, bo mimo chęci, ten obcy zabierał moją uwagę, i choć serdecznie witałam brata, spojrzenie moje biegło w głąb pokoju szukając jego przyjaciela. Ujrzałam go nakoniec, zbliżył się do mateczki i złożywszy na jéj ręce pocałunek, niskim harmonijnym głosem zaczął cóś mówić do niéj.

— Pozwól mateczko i ty siostrzyczko, przedstawić sobie mego najdroższego przyjaciela, serdecznego druha, o którym już nieraz słyszałyście odemnie. Był mi zawsze bratem, bądźcież dla niego z serdeczną życzliwością matki i siostry...

— Ośmielony przez Marjana, i ja zanoszę tę samę prośbę, powiedział p. Jarosław, całując ręce wzruszonéj mateczki.

Słońce zachodzące oblało światłem jego wysoką postać. Spojrzałam na twarz .. byłto mój nieznajomy z fotografii. Zarumieniłam się, a gdy p. Jarosław podał mi rękę, musiałam mieć zalęknioną trochę minę, bo Marjan powiedział uśmiechając się:

— A to, moja siostrzyczka!—owa żywa, idealna. Janka, o któréj ci mówiłem często, ale która w téj chwili niepodobna do opisu, lecz więcéj do spłoszonego ptaszka!...

— Mam nadzieję, że pani nie będzie mnie uważać za obcego przybysza? spytał obejmując mię jasnem wejrzeniem swoich ładnych oczu.

— Nie! pan jesteś przyjacielem Marjana, powiedziałam już śmielsza, pociągnięta jego szczerością malującą się w twarzy i głosie.

W kilka godzin potem, już zupełnie znikło z mojéj myśli niechętne uprzedzenie do naszego gościa.

Pan Jarosław z delikatnością i taktem dobrze wychowanego człowieka, tak umiał postępować, że nam bynajmniéj nie był ciężarem, osobistością obcą, którą trzeba rozrywać i bawić z obowiązku gościnności, i wyczerpywać w rozmowie szczegóły zajmujące o złéj drodze i pogodzie. Ujął nas odrazu swojem naturalnem obejściem, serdeczną przyjaźnią jąką miał dla Marjana, uprzejmą grzecznością nam okazywaną, w której przecież nie było nic wymuszonego. Przytem wykształcenie, pewność siebie oparta na prawdziwéj umiejętności i wyższości umysłowéj, oraz niepospolity dar prowadzenia rozmowy, czyniły jego towarzystwo bardzo przyjemnem, pożądanem.

W wigilję Bożego Narodzenia, gdy za wejściem gwiazdki usiedliśmy za stołem według zwyczaju sianem zasłanym, i z cichem wzruszeniem złamaliśmy pamiątkowy opłatek, niktby nie sądził że między nami jest dziecię innéj rodziny. Jarosław nietylko nam nie przeszkadzał, ale przeciwnie było nam z nim dobrze i miło jak z kimś oddawna znajomym. Zaraz po przybyciu uprosił mateczki, aby go nazywała po imieniu.

— Zrób mi pani tę łaskę, mówił całując jéj ręce, niechże zimny tytuł pana nie psuje mi złudzenia, że jestem wśród swoich. Przez miłość dla Marjana, udziel i mnie cokolwiek ze swego macierzyńskiego uczucia. Tak dobrym, tak świętym istotom jak pani, nietrudno obdarzyć kogoś jednym z promieni tego serdecznego ciepła, którego ognisko płonie w ich piersiach. Proszę o ten dar najmilszy w życiu!

Mateczka moja nigdy go nikomu nie odmówiła— a ja uczułam dla niego wielką wdzięczność, że tak umiał ocenić tę moją ukochaną!

Po wieczerzy, Marjan mię prosił abym grała—dla mnie Janko zagrasz Szopena, ale aby uraczyć Jarosława, może znajdziesz jaki kawałek zakroju klasycznego. Mniéj fantazyjnych uczuć odemnie, uwielbia kompozycje poważnych mistrzów.

Uśmiechnęłam się z trafnego przeczucia przy wyborze ronda i sonaty. Rumieniec gorący oblał mi twarz, a Jarosław taki, jakim go sobie wyobrażałam patrząc na jego fotografję, ukazał mi się otoczony błyszczącą aureolą różnych przymiotów, na wyniesienie których nie wiem czyby się znalazły słowa dostatecznie. Grałam wtedy długo bardzo, a Marjan podziwiał postępy jakie uczyniłam w muzyce. Zarumieniłam się znowu, bo czułam że nigdy tak dobrze nie grałam jak dzisiaj.

W Boże Narodzenie wystrojona w modne dary Marjana, weszłam poważnie do pokoju, w którym zdawało mi się, że prócz Marjana nie ma nikogo. Zrobiwszy długi ceremonjalny ukłon, po wielu minach stosownych do tualety, rzuciłam mu się na szyję, pytając czy dobrze odgrywam swą rolę?

— Wybornie!—odrzekł ktoś za mną wesoło.

Stanęłam cała w rumieńcach, postrzegłszy Jarosława, który stał niewidziany przezemnie przy piecu. Zapominając o stroju i roli—załamałam spuszczone ręce.

Marjan i Jarosław na widok mojéj zalęknionéj fizognomii, rozśmieli się serdecznie.

— Janko! czegoś taka zmięszana?—spytał mię brat.

— Ah!.. ależ ja nie wiedziałam, że... że...

— Że, jak powiadasz, przedstawienie twoje będzie miało więcéj widzów, powiedziała wchodząc moja matka,—potem zwracając się do Jarosława i Marjana, opowiedziała im moje przekonania i niechęć do świata.

— To źle Janko! to zbyt egoistycznie, mówił brat mój, a Jarosław rzekł poważnie:

— To źle, w istocie panno Janino! Człowiek nigdy nie powinien zapominać o tem, że jest nie dla siebie wyłącznie, lecz dla społeczeństwa stworzony!

— Poprawię się na przyszłość, rzekłam bardzo pokornie, i żartując wesoło zapomniałam o mojem zawstydzeniu.

Dwa tygodnie minęły jak dwa dni wesołe, spędzone na pogawędce, muzyce i tysiącach swobodnych fraszek. Ze łzami w oczach żegnałyśmy naszych gości, ale widziałam dobrze, czułam jeszcze lepiéj, że i panu Jarosławowi przykro było nas opuszczać. Dał nam słowo, że w czasie wakacji przyjedzie do nas i serdecznie nam dziękował za miłe przyjęcie jakiego doznał.

Tego roku zima wydała mi się długą i nawet nudną. Często mi przychodziły do głowy myśli, które tam nigdy dotąd nie miały przystępu, Czasem całe godziny siedziałam spokojnie, uprzytomniając sobie zajmujące opowiadania pana Jarosława, o pięknych kościołach i pałacaah, o czarownych dziełach sztuki i natury, o wspaniałym widoku wielkich miast i życiu pełnem nieustającego gwaru i zabawy. Może było dobrze z mateczką, nie uskarżałam się bynajmniéj, nie czułam braku czegokolwiek, a jednak wprost przeciwnie niedawnemu dowodzeniu, przyznałam się po cichu do serdecznéj chętki ujrzenia tych nieznanych cudów. Jak na złość, mateczka wcale się nie domyślała moich pragnień, i o zmianie urządzenia dotychczasowego życia, nie było wcale mowy.

Mimo, że nigdy nie byłam bez zajęcia, wszystkie jednak moje prace były właściwie tylko rozrywkami dla zabicia czasu. Grałam, czytałam, niekiedy robiłam jaką małą robótkę, pieściłam się z mateczką, i wychodziłam na przechadzkę. Oto całe zatrudnienie moje. Może dla tego takie różnorodne myśli nasuwały mi się natrętnie, i uznawałam słuszność słów Jarosława, który mi raz powiedział:

— Pani żyjesz życiem motyla, przebiegasz z kwiatka na kwiatek zbierając samą słodycz dla, chwilowéj rozkoszy! Rozważałam ja trochę aby się stać pracowitą pszczołą, ale mi się to wcale nieudawało— i zaniechałam zamiaru wzbudzonego zdaniem przyjaciela mego brata. Mateczka usuwała wszelki kłopot gospodarczy, nie dozwalając mi zajmować się czemkolwiek w domu; często tylko wykładała mi teorję obowiązków gospodyni domu dodając, że powinnam pamiętać jéj słowa, bo kiedyś będą mi wskazówką jak postępować należy. Ale ja niebardzo korzystałam z rych szacownych lekcji, i zwykle żartami odwracałam myśl mateczki, od tego niezajmującego mnie przedmiotu. Nie wiedziałam wtedy, jak wielkiéj wagi błąd popełniamy obie, lekceważąc poznanie prawdziwéj strony życia!

Na wielkanoc Marjan przyjechał sam; przywiózł nam tylko serdeczne pozdrowienie od Jarosława, o którym opowiadał tyle dobrego, że wkrótce w marzeniach moich przybrał postać bohatera. Bojąc się jednak ściągnąć żartów mateczki i brata, ukrywałam moje uwielbienie i starałam się nawet mało wspominać jego imienia. Ale za to, każdy wymarzony ideał doskonałości, wszyscy szlachetni i piękni bohaterowie dramatów i powieści, przedstawiali się mojéj wyobraźni zupełnie podobni do Jarosława, z takąż twarzą i głosem, z tym swobodnym układem, i powagą jaśniejącą z czoła. Marjan różnemi szczegółami świadczącemi o prawdziwéj wyższości i dobroci jego przyjaciela, podniecał bezwiednie ten entuzjazm w sercu swéj siostrzyczki, i rozżarzał nieostrożnie iskrę uczucia co się już tlić zaczęła.

Wkrótce bowiem zaledwo kilka minęło miesięcy, poznałam, że serce moje ogarnęła miłość gwałtowna, choć w pół dziecinna jeszcze. Gdy Jarosław dotrzymując słowa przyjechał wśród wakacji, już bez munduru jako skończony młodzieniec, mnie, także już mającą dostać niebawem długą suknię, tak lękliwa nieśmiałość napadła, że ujrzawszy go, cała drżąca uciekłam do ogrodu, i zostałam tam dobrą chwilę, nie mogąc przyjść do siebie z własnego wzruszenia. Powróciwszy, nie mogłam wymówić słowa, ale wszyscy złożyli to na karb zmęczenia szybkim biegiem.

Długo dumałam nad powodem mego zmięszania. Leżąc już w łóżku, napróżno chciałam usnąć tuląc się do poduszek; próżno mówiłam wszystkie pacierze jakie tylko zapamiętałam, sen nie przychodził— a wśród modlitwy, imię i twarz Jarosława przeszkadzały wzniesieniu ducha i plątały święte wyrazy. Księżyc świecił zaglądając w moje okno,—sądząc więc, że może jego światło odpędza sen z powiek, wyszłam z łóżka, a umieściwszy się w otwartem oknie, zaczęłam marzyć o wędrówce po jego promieniach. Nagle zerwałam się żywo i skryłam za okno. Z ogrodu dobiegły mię głosy rozmawiających, i zobaczyłem Marjana z Jarosławem chodzących po ulicach. Zadrżałam, i choć oni zniknęli wkrótce z moich oczu, mnie serce tak mocno bić zaczęło, jak w chwili przyjazdu Jarosława. Zasłoniłam twarz rękami, i wyrzekłam po cichu słowo zagadki, rumieniąc się cała, choć nikogo oprócz mnie nie było w pokoju.

(d. c. n)

LUDZIE I HASŁA

XIX-go WIEKU.

(Dokończenie.)

Zobaczmyż teraz, jakie ganki pokopał sobie naturalizm w innych dziedzinach oświaty i wiedzy ludzkiéj. Na początek weźmy dziedzinę *umiejętności*. Wychodzi ku nam stary, zacny, nieoszacowany *dyletantyzm*, u nas *amatorstwem* zwany. „Jakżeż bo ciężko przebrać się do źródeł prawdy i wiedzy!“ mówi teorja umiejętności. Głupstwo, panie zawoła amator nasz kochany; już ja to sobie uproszczę. Przedewszystkiem uwalnia on się bez ceremonii od wszelkich zobowiązań względem umiejętności, jako całości organicznéj, dalsza zaś procedura bywa zwykle taka: jakąś część lub odnogę, która mu przypada do gustu i po któréj sobie dużo korzyści obiecuje, odrywa bez dalszych korowodów od całości, miesza ją ze starzyzną i nowością, zaprawia cudzemi pewnikami i swojem widzimi się, i warzy a warzy, póki nie utworzy się z tego jakieś *ragout* cygańskie, które staje się potem dotyla niebezpiecznem i wprost szkodliwem, że szanowny amator dał temu tytuł i pozory rozprawy popularnéj, rozwiązującéj jednym zamachem najżywotniejsze i najzawilsze zagadnienia. Publiczność klaszcze, krytyka chwali, przyjaciele wynoszą pod niebiosa, i tak przybywa nam nowa gwiazda, popularyzująca nieudolnie cudze i swoje, mądre i niedorzeczne, ważne i błahe, pożyteczne i szkodliwe kwestje. Popularnemi i przystępnemi mogą być rzeczy klasycznéj wartości; napisz jakim chcesz językiem, każdy je zrozumie, prostak zrozumie, prostak zgani lub pochwali; kto więc chce w świecie być lub uchodzić za popularazytora umiejętności, powinien z pracy, z pióra i powołania być klasykiem *sui generis*. Ale do téj roli nie wolno uciekać się każdemu bez wyjątku, nie wolno przedewszystkiem dyletantyzmowi temu najszkodliwszemu fuszerowi—popularyzatorowi umiejętności. Do roli takiéj mają prawo sami tylko mistrze, ci prawdziwi apostołowie i zwiastuni prawd naukowych; do tego zastępu nie wolno się mięszać indywiduom obdarzonym jedynie językiem, piórem i jakim takim darem spostrzegawczym. Wprawdzie wina to znowu i samych uczonych, że gardząc z wysoka popularyzowaniem umiejętności, zostawiają to pole profanom; jestto jeszcze zabytek dawnych czasów, gdzieto uczeni nie komunikowali się wcale ze światem; ale dziś, kiedy warunki się zmieniły, kiedy druk i szkoły roznoszą światło po wszystkich warstwach społeczeństwa, powinniby uczeni nie zapominać o swoich wielkich obowiązkach względem ogółu: będąc mistrzami nauki, winni być zarazem mistrzami i nauczycielami tych maluczkich, co to pragnęliby także dzielić rozkosze i trudy wiedzy z mistrzami swoimi. Jeźli się uczeni nie zniżają do popularyzowania swojej nauki możnaby ich tu wprawdzie usprawiedliwić bo nie każdemu dano sprostać warunkom popularyzowania. Ale kiedy ci, którzyby mogli w saméj rzeczy dzielić się z nami drobinkami swojej umiejętności i wybierać z niéj ziarna co najlepsze i najpożywniejsze, nie czynią tego li ze zbytwielkiego o sobie zarozumienia, i zamiast zejść czasem o kilka stopni z wyżyn swoich do poziomu ogółu, kryją się po dygnitarsku za portyery swoich arkanów: to w tem postępowaniu ich nie widać nic więcéj, jak prosty naturalizm czyli pewnie rodzaj sobkowstwa i wygódek, które oczywiście przy popularyzowaniu nauki musiałyby przysporzyć uczonemu nowy rodzaj pracy zakłócającéj wygódki, kwietyzmu. Uczeni, którzy się uchylają od tego szczytnego zadania, składają niestety świadectwo ubóstwa moralnego i braku światła pełnego: są to sobie naturaliści—ludzie interesowani tylko sobą i swojém wysokiém stanowiskiem.

Ale nietylko uczeni sami, lecz co gorsza umiejętności niektóre zaczynają podlegać téj chorobie naturalistycznéj. Naturalizm występuje tu w rogatych postaciach ducha złego, rzucającego zdradziecko jabłko niezgody pomiędzy jednostki i społeczeństwa, ludy i rządy, przeszłość i przyszłość, słowem, podgryzającego dla swych celów i zasad nieczystych, narwanych, chorych i porażonych, wszystkie odnogi i powiezie życia społecznego. Pod tym względem wsławiły się szczególniéj nauki przyrodnicze; ukąszenie bzika reformatorskiego było dla nich tak niebezpieczne i niefortunne, że w szale tego bólu zapomniały całkowicie o swojem właściwem zadaniu i o granicach, po za które żadnej umiejętności wychodzić nie wolno. Na czele odważniejszych stanął buńczuczny materjalizm, za nim pomknął empiryzm, za temi Vogt z małpą pod ręką, za Vogtem Haeckel z nową genezą, za nimi zaś sam głowacz reformatorów, Darwin poważny, nieomylny, jedyny, oczekiwany przez lat *sześć tysięcy*.... I słowo Darwina stało się ciałem i przybrało na się postać nowego messjanizmu—walki o byt powszedni—zaiste, tematu jak na tę wrzawę, nienowego i nieszczególnego.

Ale bo i czemże może być nareszcie zakres *jednéj* umiejętności w porównaniu z całym ogromem wiedzy, żywotności i myśli ludzkiej? Takie jednostronne *à la Büchner* zapatrywanie się na ustrój i bieg rzeczy ludzkich; takie śmiałe rozwiązywanie najzawilszych zagadnień społecznych ze stanowiska *jednéj* umiejętności, *jednego* na rzeczy poglądu, nie jestże to zarozumieniem dyletantyzmu i fuszerstwem na grubą skalę? Gburowate i ataki wycieczki materjalizmu, który miasto trzymać się poważnie w swoim właściwym zakresie i działać jak przystoi z korzyścią dla pewnych gałęzi nauk przyrodniczych, wciska się zuchwale do wszystkich bez wyjątku dziedzin życia społecznego: te mówię bezwzględne i destrukcyjne zasady, środki i kierunki materjalistów, nie są—że dowodem najwyuzdańszego naturalizmu i sobkowstwa? Czyżby tylko *takiéj* roli miały przysługiwać nauki przyrodnicze i za lada odkryciem jakiejś monery dyktować światu nowe zasady? Sądzić należy, że po fiasku pociesznem, jakie zrobił na polu filozofii najbieglejszy szermierz materjalizmu (Karol Vogt), otworzą się oczy materyalistom na wadliwe i słabe strony ich nauki. Dzisiejsza publiczność jest biegłym krytykiem i nie pozwoli mącić wody lada argumentem: usłuchałaby w najgorszym razie jakiego nowego Schellinga, Fichtego, nawet Hegla lub Szopenhaura, ale nigdy takich jak Vogt pachołków nauki. Nie wolno obracać nauki na cele herostratyzmu, bo ją zdyskredytujem od razu, a korzyści jakieby przynieść mogła, zmarnieją na zawsze. Mania eksploatowania nowości, tak się już zaryła głęboko w koleje naszego wieku, że najpoważniejsza umiejętność przywdziewa na się suknie szarlatanizmu. Na każdym kroku zła wiara, i rzeczy doszły do tego stopnia, że już niewiadomo, komu wierzyć, po czyjéj stronie szczerość, prawda i namaszczenie. Jeszcze się myśl nie pocznie, a już setkami liczyć można apostołów i popularyzatorów, ktorych jedynym celem zdaje się być zawsze jedno i to samo: *zmylić publiczność i dać nura*. Ale inaczéj być nie może i nie będzie podobno nigdy, dopóty naturalizm, krańcowość, egoizm i prostactwo zasad, nie wyniosą się raz na zawsze z zakresu umiejętności.

Myliłby się, ktoby mniemał, że naturalizm czepia się tylko dziedzin teorji; przeciwnie, widać go także na polu życia *praktycznego*. Ale czyżby mogło być inaczéj?! Tu on jest dopiero sobą: w każdéj sprężynie życia społecznego siedzi jego dusza. Wszędzie natura, czysta natura—natura w nagiéj postaci! Naturalizm wdarł się już do samego wnętrza życia towarzyskiego i publicznego. „Żyć po swojemu, po swojéj myśli, żyć jak natura wskazuje!“, to hasło naturalizmu społecznego; wszystko zaś co się sprzeciwia téj zasadzie, nazywają bez ogródki zacofaniem i zgnilizną. Na bok z religią, z moralnością, sumieniem, szkołą, rodziną, małżeństwem, rządem, prawem i wszelkiego rodzaju obowiązkami publicznemi: wszędzie natura, czysta natura—natura w nagiéj postaci! Z naturalnéj przyrodzonéj równości wszystkich ludzi—która istnieć może prawdą a Bogiem tylko w zoologiczném pojęciu człowieka—wywodzą zaraz konieczną kwestję *emancypacji* i *równoprawnienia* wszystkich stanów i płci, aż do granic wychodzących po za wszelki obręb życia publicznego i towarzyskiego; równouprawnienie kobiet z mężczyznami zaszło tak daleko, że zamiast posuwać kobietę naprzód, daje jéj przeciwnie wstecznу kierunek. Z emancypacji tylko krok jeden do reformy *małżeństwa*. Już to sprawy *małżeństwa* były i są obecnie najłakomszym przedmiotem dla naturalistów; to cel, to ostateczny kres ich zabiegów i myśli społecznych. Pozwolić naturze hulać bez hamulca, uprzątnąć fundamenta moralności publicznéj i towarzyskiéj, małżeństwo zastąpić naturą, to już doprawdy trochę za „*naturalne*“. Mniejsza zresztą o to, jakie rozmiary przybrać zdoła w tym względzie naturalizm i system jego; przeszkodzić im nie można od razu; godnym atoli zanotowania jest tylko fakt, z jak wytartém czołém dopomina się ta nowa sekta pewnych praw legalnych dla swego „systemu“... Śmietanką téj sekty przeczystéj jest jak wiadomo *demi-monde*. Sferę tę ubierają naturaliści we wszelkie pozory powagi, moralności i przyzwoitości publicznéj, i zręczna ta metoda odniosła w saméj rzeczy znakomite tryumfy nad stałemi zasadami społeczeństwa; obłąkała nawet ludzi myślących, poważnych i zacnych zkądinąd. W powieściach tegoczesnych półświatek nazywa się krótko i węzłowato „*życiem*“, w dramacie i na scenie *światem*“. Najwierutniejsze prostactwo zaczyna uchodzić, za ideał życia; młodzież oddycha już tylko *takiemi* ideałami i zasadami, a powiedz jéj, że grzeszy wierząc w te światy nieczyste, to cię wyśmieje i głupcem okrzyknie. Powieściopisarzom i niektórym poetom nowego stylu możnaby się tu pokłonić niziutko za te przezacne usługi oddane naszemu społeczeństwu; ani wiedzą o tém prowadzą wodę na koła naturalizmu. Wpływ naturalizmu przebija się nawet w modzie tegoczesnéj. Ubranie nasze zaczyna być *non-chalant* co się zowie; kobiety idą na wyścigi z libertynkami; dekolty matek i córek naszych zatrzymają się prawdopodobnie tylko na liściu figowym. Za tém idzie rozprzężenie przyzwoitości towarzyskiéj. Piękną starodawną gracyę znajdziesz jeszcze tylko w staréj generacji; młodzież natomiast zrzuca z siebie to jarzmo niepotrzebne, i ośmielona milczeniem ogółu brnie po kolana w prostactwie i sprosności obyczajów:—znowu natura, czysta natura—natura w nagiéj postaci!

Jakto wciska się zwycięzko widmo naturalizmu we wszystkie sfery życia. Nawet państwa i rządy, strzeżone troskliwie przez ludzi miłujących byt i porządek społeczny, nie mogą upilnować swych granic od najazdu tych Hunnów XIX-go stulecia. Czerwony krwawy sztandar Feliksa Pyata, powiewa już na kilku wyłomach spowodowanych podziemnem knowaniem tego bractwa. Zamienić państwo i społeczeństwo w gromadę jednostek niepowiązanych z sobą żadną wyższą zacniejszą zasadą lub ideą; cofnąć oświatę do

wieków barbaryzmu do przedpierwocia historycznego dać każdemu nieograniczoną swobodę działania, pozwolić jednostce żyć kosztem ogółu—ogółowi kosztem jednostki; znieść wszelkie jakoby istniejące jeszcze różnice stanów; znieść absolutyzm prawa, a zaprowadzić absolutyzm jednostki lub gminy; słowem zatrzeć wszelkie szlachetniejsze znamiona cywilizacyjne, a postęp przystroić w rogi baranie: oto cele naturalizmu—oto socjalizm, komuna, nihilizm. Że jak ten jak każda inna epidemia społeczna, przelewa się drogą druków i publikacji niesumiennych do łona rodzin, szkół i zakładów publicznych, o tem mówiliśmy już powyżej. Widok państwa urządzonego wzorowo, uczciwie, w imię praw i zasad, na jakie stać każdą daną chwilę, jest dla socjalistów kolcem w oku. Zwalić oświatę i mrówczą pracę tylu tysięcy lat i zastąpić ją kodeksem zredagowanym na prędce przez pierwszego szaleńca, nie jestże to więcej jak żartem? mało powiedzieć — obłąkaniem. I gdybyż w zasadach naturalizmu była choć odrobinka dobréj wiary — gdzie tam! nie znajdziesz ani dwóch indywidnów zgodnych z sobą i przejętych jednomyślnie jakąś ogólną ideą; przeciwnie, dualizm na każdym kroku, nieufność posunięta do antypatji, zaciekłość zdania, sobkowstwo bez miary i wstydu publicznego; przyjaciel zdradza przyjaciela, syn ojca, lud pasterza: oto *nowi* ludzie, *nowe* społeczeństwo!

Spojrzmy na giełdę! Toż to przybytek najgrubszego naturalizmu. Pieniądz XIX-go stulecia, to element gorszy od pożaru pędzonego wichrem na wszystkie strony: „biada, kogo ogarną"! Ta chuć gorąca za tym brzęczącym klejnotem, tłumi wszelkie inne uczucia i umarza wszystko, co nie jest notowane na kurscetlu. Nie ma rzeczy tak wysokiéj i tak znikoméj, którąby nie miała swojéj wartości, byle w nabyciu lub zbyciu, nie przedstawiała ani trudności zbytecznych, ani strachu, ani żalu, ani niepewności; ani zobowiązań sięgających, broń Boże! głębiéj nieco od prostego wekslu. Duchowe, moralne wartości są dla giełdy absurdnm: nad temi mrzonkami wznosi się dzisiaj wspaniały kolos systematycznego oszustwa, osłoniętego i upozorowanego różnemi tytułami i godłami. Manienie opinii publicznéj stanowi tu główną stałą rubrykę; bezczelność w zarywaniu i kłamstwie publicznem doszła już do takiego stopnia, że niepodobna wyróżnić w żaden żywy sposób: sumienia od czelności, pomocy od zasadzki. Nie ma progów, którychby nie nawiedziła ta armia spekulantów; nie ma rodziny dotkniętéj jéj palcem; nie ma urzędnika, nie ma bióra którychby nie probowały skusić do swych usług; nie ma praw i paragrafów, którychby nie obeszła bez szwanku; nie ma Boga, nie ma religii, nie ma wyznania, któregoby się nie wyparła—słowem, nie ma środków tak szlachetnychi brudnych, którychby nie użyto na usługę swych naturalistycznych celów.

A teatr?.. tożto jeszcze tylko pasaż prosty od tłustego obiadu do tłustego eldorado. Mówiliśmy już powyżéj, jaki to element odgrywa rolę „życia" w dramacie, u „świata" na scenie. Ani to świat, ani życie. Kilka nędznych konceptów, kilka idiotycznych lub brudnych typów, kilka punkcików dwuznacznych, kilka łokci szychu i kitajki, lampa i sufler, oto dramat i teatr drugiéj połowy dziewiętnastego stulecia. Wszędzie natura, czysta natura, natura w nagiéj postaci.

Ale dosyć tego rachunku. Zwiedziliśmy całą mniéj więcéj galeryę osobliwości wieku i społeczeństwa. Widok nieszczególny. Wrażenie bolesne. Na każdym kroku idea naturalizmu i prostactwa. Wszystkie przybytki ponawieszane szyldami tego hasła. Giełdowicz szuka szczęścia w bezkarnem tumanieniu nieświadomych i łatwowiernych; socyalista z nihilistą kopią nory pod wszystkiemi; uczony bładga na wszystko, aby mu profani nie zakłócali spokoju; kapłan złorzeczy cywiliście, cywilista kapłanowi; sekta pluje w oczy sekcie, system systemowi, naród narodowi; wszędzie kolizja, dualizm, czelność zasad, podstęp, zła wiara.

Jakże maluczkim i nizkim w poglądach swoich wydałby się sam sobie niejeden z koryfeuszów lub wyznawców naturalizmu, gdyby choć raz w życiu zechciał sobie przypomnieć tę prawdę odwieczną, że ludzkość jesto całość organiczna, któréj dla maleńkich celów naszych niewolno rozdzierać na szmaty. Wszyscyśmy członkami *jednego* ciała: pełnijmy więc funkcje nasze w miarę sił i potrzeb, ale pełnijmy je w myśl *jednego* powszechnego dobra. Zadanie szczytne zaiste! Jakżeż szczęśliwem mogłoby być niejedno społeczeństwo, gdyby cel i prawdę bytu swego w ten sposób pojmowało!

August Jeske.

Sen.

Nitki złotéj snów, pajęczéj
Snułem wczoraj len,
W kraje marzeń barwnéj tęczy
Słodki niósł mnie sen.

W bladym promieniu księżyca
Wabił mnie jej głos,
Uśmiech cudne złocił lica
Wróżąc szczęsny los.

Oczęta jej skrzące, czarne,
Jak wśród burzy noc,
Dały poznać mi... figlarne,
Jej uczucia moc.

Jak słowik w piękny dzień wiosny
Gdy śpiew nuci swój,
Takem szczęśliw był, radosny,
Pieszcząc włosów zwój.

Dotąd nieśmiały i skromny
Lecąc w szału toń,
Czule pieściłem, niepomny,
Jej bieluchną dłoń.

Krylem w jéj rączęta głowę,
Którą palił szał,
Jej usteczka koralowe
Zoczywszy, jam drżał.

Błagałem złożywszy dłonie
O snuj szczęścia len,
Nagle .. chłód mi owiał skronie, —
To był tylko sen.

Aleksander Messyng.

O TRZĘSIENIACH ZIEMI
I WYBUCHACH WULKANICZNYCH.

II.

Trzęsienie ziemi w Lizbonie (1755). Trzęsienia ziemi w Kalabryi (1783).

Podajemy tu szczegóły dwóch najstraszliwszych katastrof, trzęsieniem ziemi spowodowanych w Europie, w czasach niezbyt jeszcze od nas odległych, według opisów najznakomitszych geologów, skreślonych na zasadzie dokumentów urzędowych i innych najpoważniejszych źródeł.

1go Października 1755 roku, o trzy kwandranse na dziesiątą, w czas najcichszy i najpogodniejszy, przy 18 stopniach ciepła, huk podobny do silnego grzmotu rozległ się nagle pod całem miastem Lizboną. Po nim nastąpiły natychmiast trzy raptowne wstrząśnienia. Pierwsze mało czuć się dało, lecz w pół minuty po niém, ziemia tak silnie zadrżała, że większa część domow i gmachów walić się poczęła. To drugie wstrząśnienie trwało około sto sekund. Pył podniesiony przez walące się domy był tak wielki, że słońce zostało zaciemnione. Po dwóch minutach pył opadać zaczął i rozjaśniało się już o tyle, że można było się rozpoznać i obaczyć co się stało, gdy trzecie i gwałtowniejsze jeszcze wtrząśnienie wszystko w perzynę obróciło. Gmachy, które się oparły drugiemu wstrząśnieniu, runęły z przerażającym łoskotem, słupy pyłu wzniosły się wysoko i zupełnie zaćmiły powietrze,—był to obraz chaosu. Kołysanie się i drżenie ziemi, która wciąż się poruszała, ciemność dnia, jęki rannych i konających, krzyki przestrachu tych co jeszcze zostali nietknięci, ryki zwierząt, powiększały zamięszanie i okropność tej strasznej chwili. Po 12 minutach ruchy ziemi uspokoiły się.

Przeszło czterdzieści tysięcy osób żywych lub zabitych, leżało zagrzebanych pod zwaliskami. Po pierwszém wstrząśnieniu, morze cofnęło się od brzegów, po drugiém zaś wróciło, a wznosząc się o 45 stóp nad poziom swój zwykły, z najwyższą wściekłością rzuciło się w leżące gruzem miasto. Po chwili straszna ta fala cofnęła się znowu i niepowróciła więcéj, inaczéj całe miasto byłoby zalane i nikt nie uszedłby zagłady. Góry Arrabida, Estrella, Julio, Marwan i Cintra, które stanowią najwyższe szczyty w Portugalji, gwałtownie zostały poruszone, nie jedne z nich wierzchołki swoje miały rozdarte, spękane lub połamane w dziwne kształty. Olbrzymie skały podrywane spadły w doliny; widziano nawet z tych gór buchające płomienie i dymy, przerzynane piorunowemi błyskami.

Niepodobna oddać tego okropnego obrazu miasta zniszczonego w jednéj chwili, z mieszkańcami poszarpanemi w kawałki lub umierającemi pod stosami gruzów. Przerażenie było tak wielkie, że najodważniejsze, najdzielniejszego ducha osoby, nie śmiały zatrzymać się na chwilę, ażeby nieść pomoc najukochańszym istotom, które odwaleniem kilku kamieni uratować możeby się dało jeszcze; uczucie własnego bezpieczeństwa brało górę nad wszystkiem w téj okropnéj chwili. Jedynym środkiem ocalenia było, wydostanie się na obszerne place, lub na otwarte pola,—to też kto tylko utrzymać się mógł na nogach, zdążał tam najśpieszniéj.

Ilość zabitych nigdzie tak wielką niebyła jak po kościołach. Ponieważ był to dzień świąteczny i godzina uroczystego nabożeństwa, kościoły wszystkie i klasztory przepełnione były ludźmi,—oprócz tego po pierwszem wstrząśnieniu, mnóstwo osób przestraszonych, ulegając uczuciu pobożności, chroniło się do kościołów zwiększając liczbę modlących się. Pognęły one wszystkie, przywalone ogromnemi kamieniami wież, dzwonnic i sklepień.

W parę godzin późniéj, gwałtowny ogień wszczął się w trzech punktach miasta, spowodowany ogniem w kuchniach, rozrzuconym przez wstrząśnienie pomiędzy palne materjały. Na domiar nieszczęścia silny wiatr, który po ciszy poranku nastąpił, dokonał dzieła zniszczenia, pożar miasta stał się ogólnym.

Ziemia, woda i ogień jakoby się sprzysięgły na zagładę téj nieszczęśliwéj stolicy, która przeniosła spustoszenia przez te trzy żywioły jednocześnie i z całą wści kłością wywierane. Z pośrodka zwalisk ze wszystkich ulic i domów, które całe pozostały

jeszcze widziano wysuwających się ludzi jakby okropne widma jakie. Mężczyźni, kobiety i dzieci, wszystko to wybladłe, straszliwie zmienione, na wpół umarłe z przestrachu, biegło w stronę przedmieści. Jedni unosili z sobą przedmioty swéj miłości, dziatki drobne; inni zaledwie się wlekli, a wszyscy wołali głosem od przestrachu ochrypłym i do ludzkiego niepodobnym, na ukochanych swoich, którzy zaginęli gdzieś w ogólnym zamęcie. Ojcowie, matki, dzieci, małżonkowie szukali się i nawoływali daremnie. Starzy i chorzy nie mogąc się zwlec z łóżek, poginęli wszyscy prawie; przywaleni gruzami lub spaleni w pożarze.

Od pierwszego wstrząśnienia, niektóre osoby pobiegły do portu chcąc się schronić na statki, lecz wkrótce szalona, olbrzymia fala, o której mówiliśmy, okręta, łodzie i wszelkie statki rzuciła w miasto i o zwaliska murów porozbijała. Przypływ i odpływ morza z wielką gwałtownością trwał przez noc całą, i co pięć minut wzmagał się w sile i wysokości.

Przy porcie ciągnęło się nadbrzeże z marmuru niedawno z wielkim kosztem wystawione, ogromna ilość osób tam się schroniła, sądząc że będą bezpieczni od walących się gmachów. Lecz nadbrzeże całkowicie zapadło jakby kamyk rzucony w wodę, nie widziano ani jednego ciała (z tylu ofiar) wypływającego na powierzchnię. Jednocześnie wiele łodzi i mniejszych statków do nadbrzeża linami uwiązanych, wciągniętych, zniknęło w téj otchłani tak że żadnego z nich szczątku nigdy nie dostrzeżono. Potrzeba przypuścić, chcąc wytłómaczyć ten nadzwyczajny wypadek, że pewna część gruntu i dna morskiego zapadła się w nagle utworzoną przepaść, która natychmiast się zamknęła. Fakt ten był stwierdzony przez naocznego, wiarogodnego świadka. (Llyel, Principes de géologie 3me partie p: 3, 79).

Chociaż wstrząśnienie gruntu, było ogólne, wszakże nie we wszystkich kwartałach jednakowo uczuć się dało. Całe stare miasto, *miasto Mauruw*, zupełnie zburzone zostało, a w *nowem mieście* około siedemdziesięciu ulic głównych. Trzęsienie ziemi a następnie pożar zniszczył ze szczętem kościół katedralny, ośmnaście innych kościołów, wszystkie prawie klasztory, gmach Inkwizycji i najpiękniejsze pałace, w téj liczbie i zamek królewski, który runął najpierwszy jak również pałac księcia Bragancyi, książąt Cadowol, Lafoens, etc. etc. Obliczano na kilka milionów funtów szterlingów straty, jakie poniósł jeden tylko handel angielski. Warsztaty okrętowe, komory celne pełne kosztownych towarów, wszystkie składy zboża, stały się pastwą płomieni.

Ogień niszczący te zwaliska trwał dni cztery, i przygasł z braku palnych materjałów. Uchronił on może resztę mieszkańców od innéj klęski, paląc przeszło czterdzieści tysięcy trupów, których rozkład gwałtowny zatrułby powietrze.

Pozostała ludność błądząc z rozpaczą około tych ruin, wystawiona była na śmierć głodną, bo ze zboża i zapasów nic nie pozostało. A nadto jeszcze, wielka ilość zbrodniarzy, którym ogólne zamięszanie bramy więzień otworzyło, uwijała się po zwaliskach rabując, a nieraz i zabijając.

W chwili katastrofy dwór nie był w stolicy, przebywał na zamku Belem, nie opodal od miasta. Zamek nie ucierpiał wprawdzie, lecz król przez ostrożność przepędził w karecie zaprzężonej noc z 1go 2gi października. Popłoch i tam był wielki, tak że król zostawał przez dwadzieścia cztery godzin bez żadnego oficera przy sobie i bez jedzenia! Lecz nazajutrz przybył do miasta, ażeby uorganizować pierwszy ratunek.

Liczba rannych była ogromna. Król kazał ich opatrywać w swoich oczach. Królowa, infantki i damy dworu, pracowały same nad przygotowaniem szarpi i bandaży. W kuchniach zamkowych, które w części pozostały całe, wydawano ciągle jedzenie potrzebującym. Widziano tam pomiędzy temi nieszczęśliwemi, wielu wysoko położonych ludzi, magnatów wczoraj jeszcze, a dziś nędzarzy umierających z głodu. W pierwszych dniach po katastrofie za funt chleba płacono uncję złota. Wszystkie zboże będące w okolicach Lizbony, zostało przez rząd zakupione i darmo potrzebującym rozdawane.

Należało jeszcze pomyśleć o pomieszczeniu tych nieszczęśliwych nie mających dachu i schronienia. Na prędce budowano baraki, a z pobliskich arsenałów zwożono wszystkie namioty żołnierskie, w których po trochę siana lub słomy rozesłano.

Nareszcie pomyślano o ratunku dla kilka nieszczęśliwych, którzy pod zwaliskami wyżyć jeszcze mogli. Zdołano nawet co dziwna, uratować dość znaczną liczbę osób, które pomimo kilku dni przebyłych bez pokarmu i w tak okropném położeniu, przy staraniach jeszcze do życia przywrócić zdołano. Później obliczono na przeszło czterdzieści tysięcy, liczbę osób zabitych w chwili katastrofy, a do dwudziestu tysięcy tych co poumierali z ran otrzymanych, co daje ogólną cyfrę 60000 ofiar. Tysiąc dwieście chorych zginęło w głównym szpitalu, a ośmset w jednėm z więzień. W wielkiej liczbie klasztorów, zgromadzenia zakonników bardzo znaczne były: w niejednym czterech set ich liczono, żaden nie uszedł śmierci.

Po tym okropnym wypadku, trzęsienia ziemi powtarzały się jeszcze. W ciągu miesiąca około trzydzieści wstrząśnień czuł się dało, z których niejedne było dość gwałtowne.

Po upływie kilku miesięcy, kiedy już się zdawało że nie należy obawiać się powrotu téj klęski, rząd przedsięwziął odbudowanie domów i kościołów. Lecz długo jeszcze to nieszczęśliwe miasto pozostawało jako kupa gruzów, mając zaledwie przejścia swobodne pomiędzy zwaliskami z trudnością usuniętemi, choć na tak małéj przestrzeni. Ponieważ bano się budować wielkich domów, pierwsze więc budowle były tylko drewniane, baraki. Przygotowywano je w Holandji, okrętami zwożono i układano na miejsce....

Jednak w lat dziesięć miasto już się całkowicie zabudowało na nowo, i teraz jest jedną z piękniejszych stolic Europy. Od tego czasu nie doświadczyło ono jeszcze choćby najmniejszego trzęsienia ziemi.

W ogólnych poglądach w pierwszym rozdziale zawartych mówiliśmy, że fenomen ten w Lizbonie nie był tylko miejscowy, lecz przeciwnie na znaczną bardzo przestrzeń się rozciągnął. Nie wracając do tego przedmiotu, podamy tylko kilka szczegółów o znaczniejszych wstrząśnieniach gruntu w pobliżu tego miasta.

W Hiszpanji, Portugalji i na północném wybrzeżu Afryki, wstrząśnienie to, które rozciągnęło się przez całą prawie Europę i aż do Antylówsięgało, najsilniéj czuć się dało. Port i miasto Setubal, na południe od Lizbony położone, zapadło się całkiem, i wszystkie domy zalane zostały.

W Algierze i w Fez poruszenie ziemi było straszliwe. Jedna Oaza złożona z kilku wiosek, o 8 mil od Maroko, zapadła się ze wszystkiemi mieszkańcami, w otchłań nagle rozwartą, która zamknęła się natychmiast. Około dziesięciu tysięcy Arabów zginęło w ten sposób, wraz z całym dobytkiem, stadami i gruntem nawet. Poruszenie ziemi wzdłuż brzegów Hiszpanji spowodowało cofnięcie się morza, poczém natychmiast powróciła wściekle olbrzymia fala, która w Kadyksie do 55 stóp miała wysokości. To podniesienie wód tak wielkie, groziło miastu losem nieszczęsnego portu Setubal. Fala obaliwszy ogromny kawał muru, wdarła się do miasta, lecz prędko się cofnąwszy, kilka tylko domów uszkodziła. W cofaniu się swojém większą zaś zrządziła klęskę, uniósłszy przeszło dwieście osób przechodzących lub przejeżdżających nadbrzeżną drogą; zaledwo dwie czy trzy cudem uratowane były. W tym wypadku postradał życie wnuk znakomitego Rasyna.

Kalabrja jest krajem słusznie wsławionym w starożytnéj historji. Jest to owa *Wielka Grecja*, w której Pythagores otoczony uczniami swemi, rozwijał zamiłowanie nauk i sztuk pięknych, która później, służąc Spartakusowi za pole walki, widziała upadające pod ciosami Kresusa, powstanie niewolników, które tak zagroziło rzeczypospolitéj Rzymskiéj.

Kalabrja niedaleko od czynnego wulkanu Etny położona, od najdawniejszych czasów na trzęsienia ziemi wystawioną była. W 1693 okropne wstrząśnienia zburzyły jéj terytorjum. Według srebrnego medalu wybitego na tę smutną pamiątkę, ilość ofiar téj klęski przechodziła 100,000 ludzi.

Trzęsienia ziemi, które w niespełna jeden wiek później pustoszyły ten kraj i zachodnią część, Sycylii, równie były silne, gdyż na 375 wiosek i miasteczek w Kalabrji niższéj znajdujących się, 320 zupełnie zburzone zostały, a inne mniéj lub więcéj uszkodzone.

Przestrzeń przez trzęsienie ziemi wówczas zajęta wynosiła około czterdziestu naszych mil kwadratowych.

Jeżeli biorąc za środek miasto Opido, promieniem 32 kilometrów (4¼ mil) zakreślemy koło, przestrzeń ta zajmie powierzchnię kraju, na której wszystkie bez wyjątku miasta i miasteczka zostały zniszczone. Wstrząśnienie 5 Lutego 1783 roku, w kilka minut zburzyło większą część domów, wiosek i miasteczek położonych pomiędy łańcuchem Apenninów a Messyną w Sycylij, niszcząc kraj cały, zmieniając wszędzie poziom i sprawiając jakby połamanie całéj powierzchni gruntu. Powtórne trzęsienie ziemi dnia 28 Marca tegoż roku, było równie gwałtowne jak i pierwsze; poruszyło i zatrzęsło potężnie całym łańcuchem Apenninów, a jeśli nie obaliło miast i wiosek, to dla tego że nic już do obalenia nie zostawało: wstrząśnienie bowiem 5 Lutego przedtem już wszystko z ziemią zrównało.

Trzęsienie ziemi w Kalabrji było najstraszniejszém, a przytém i najłatwiejszém do opisania ze wszystkich fenomenów téj kategorji za czasów nowszych gdyż miejscowości zwiedzane były i badane najstaranniéj przez uczonych wszelkiego rodzaju i przez najznakomitszych geologów. Naturalista francuzki geolog zarazem, de Dolemieu, podróżował właśnie wtedy po południowych Włoszech; na pierwszą więc iwieść o klęsce w Kalabrji, pospieszył tam i napisał relację o zaszłych fenomenach, razem z wyborném geologiczném ich ocenieniem. Akademja Neapolitańska wysłała komisję naukową, która szczegółowo badała wszystkie zmiany sprawione na powierzchni gruntu, obliczając i wymierzając starannie podniesienia i obniżenia, jego szczeliny i przepaście świeżo powstałe. Ambasador Angielski Hamilton, któremu nauka winna nadzwyczaj ważne i cenne opisy Wezuwiusza, przebiegł kraj ten cały, płynąc wzdłuż brzegów na małym statku miejscowom *spero nare* zwanym, badał zmiany brzegów morskich co moment wysiadając na ląd, zapuszczał się w głąb kraju z niemałém niebezpieczeństwem, albowiem ruchy gwałtowne ziemi jeszcze się nie uspokoiły. Na takich to więc danych, późniejsi geologowie ogólny i dokładny opis téj strasznéj katastrofy skreślili, który tu w streszczeniu podajemy.

Mówiliśmy już że 320 wsi i miasteczek zostało,

tam ze szczętem zburzonych. Wypadek ten miał miejsce 5 Lutego 1783 roku o w pół do pierwszéj w dzień. Cały wstrząśnienie trwało tylko dwie minuty, krótki czas wystarczył jednak ażeby wywrócić i zniszczyć całą Kalabrję. Ziemia poruszała się we wszystkich kierunkach, kołysała się jak wzburzone fale morskie, do tego stopnia, że wiele osób choroby morskiéj dostawało. Dolemieu który jako badacz poważny i niezmiernie sumiemy, na wszelką zasługuje wiarę, powiada że widziano przy takim ruchu ziemi, drzewa dotykające się jéj wierzchołkami swemi. Jednocześnie powtarzały się i ruchy, gwałtowne uderzenia pionowe, z dołu do góry i z góry na dół.

(d. c. n.)

FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ

DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI SKALISTÉJ

ODBYTA PRZEZ

SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIÓW

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską.**

(Dalszy ciąg).

Akt drugi. Z téj sali, może nieco za chłodniej, odnośnie do twego skromnego stroju, wprowadzają cię do ciemnego korytarza, z którego przeszedłszy nie wiem już wiele drzwi i drzwiczek, wchodzi się nareszcie do wielkiéj także białéj marmurowej sali, ze ścian której tryskają fontanny ciepłéj wody, spadającéj do małych ozdobnych zbiorników. Temperaturatéj sali ogrzewana jest przez luf y porobione w posadzce, o które poparzy się niemiłosiernie każdy nowicjusz nie znający miejscowości. Siadasz chwilę, w przekonaniu że ceremonja niezwłocznie się rozpocznie,—gdzie tam!—to scena niemych, i możesz myśleć żeś się dostał do zaczarowanego pałacu królewny w uśpionym lesie, gdyż nawet przewodniczący ci Arabowie, usiedli i zasnęli sobie, bynajmniej nie pytając o pozwolenie. Widząc iż ten duet bez akompaniamentu może za długo potrwać, zaczynasz prosić i grozić z kolei—daremnie! głusi i niewzruszeni jak Piramidy, nie przekroczą obowiązujących przepisów.

Po upływie dziesięciu minut, które wydały ci się długiemi godzinami, a które stanowią hygieniczne przygotowanie, Arabowie budzą się, dają ci znak i pomagają przejść do trzeciej sali.

I to stanowi *Akt trzeci.* Tu próżnującej dotąd wyobraźni nie zbraknie przedmiotów zajęcia; nagle dziwny obraz przedstawia się zadziwionym oczom. Przy małych, tryskających fontannach, siedzą w kuczki Arabowie, trzymający w rękach ogromne pęki suchych gałęzi, jakby zajęci rozbieraniem trupów porozkładanych na wznak lub na brzuchu, wyciągniętych jak dłudzy i poddających się bezspornie swemu losowi.

Temperatura téj sali jest dwa razy wyższa niż w poprzedzającéj, gdy tedy para dostatecznie cię przejmie, Arab chwyta cię i delikatnie rozkłada na marmurowéj posadzce, poczem trzyma za szyję aby być pewnym że się nie poruszysz, i rozpoczyna się operacja. Całe ciało twoje naciera najstaranniej palcami, a frykcje te wydzielają wszelki kurz jaki się na niem nagromadził.

Leżeliśmy wszyscy jak martwe ciała rozłożone na stole anatomicznym, przerażeni niekiedy cudownym rezultatem frykcyj, dozwalających nam obliczyć prawie niemylnie ilość kurzu wydzielonego za ich działaniem,—z czego *froterzy* nasi zdawali się być bardzo dumni. Wywiązują się oni ze swych obowiązków nader zwinnie i zręcznie, oszczędzając o ile można miłość własną pacienta; z resztą nacierania te bywają urozmaicone oblewaniami wodą letnią, zimną i nakoniec ciepłą, poczem następuje nowa scena, będąca jakby ukoronowaniem rozpoczętego działania.

Teraz Arab zaczyna się przewracać z jednéj strony na drugą; silne i zwinne zarazem jego ręce, żadnéj nie ulękną się przeszkody, a nakoniec polituruje się całego doskonałem, nadzwyczaj pieniącem się mydłem. Nawet głowa, nos, oczy, nie są wolne od téj operacji; znikasz zupełnie pod bałwanami białéj piany, a gdy nareszcie opadną cały jesteś czerwony jak rak ugotowany. Wydrapany, oczyszczony, opłukany, stajesz się prawie przezroczystym; operatorowie nie żałują pracy, trą a trą że o mało nie wyzioniesz ducha; myślę że gdyby ktoś skonał podczas téj operacji, pragnęliby pochwycić, trzeć i mydlić jego duszę.

Niepodobna opisać znużenia i bezwładności, ogarniających człowieka po téj operacji; skończywszy, pozostawiają cię jak nieżywego, leżącego na wznak na marmurowéj płycie; naturalnie skutkiem pobudzonéj transpiracji, pot strumieniami wydziela się z twego ciała. Po upływie pięciu minut, gdy uważają żeś się już dostatecznie podgotował, zostajesz obłany wrzącą wodą, lub jeśli wolisz, możesz sam zanurzyć się w fontannie, w któréj z łatwością możnaby gotować jaja, tak wysoką jest temperatura zawartéj w niéj wody.

Teraz pojawia się dwóch nowych Arabów, ci zaczynają wycierać się i obcierać jak najstaranniéj, poczem od stóp do głów obwijają najtroskliwiéj w miękkie, poszyte serwety.

Nowa stacja w strefie umiarkowanéj.

Jéśli ktoś zapomni obuć się w swoje drewniane sandały, najniezawodniéj znów nie jednego wywinie koziołka na ślizgich płytach posadzki, ale sińce pozostałe po pierwszych upadkach, których śladów frykcje i mydło zatrzeć nie zdołało, przypominają zachowanie téj ostrożności.

Po chwilowem wytchnieniu, znowu zostajesz powinięty w jaki tuzin nowych serwet i tak spowitego jak mumię, jeden z Arabów bierze na ręce, i jakby piórko składa na łóżku, gdzie spocząwszy nareszcie spokojnie, masz używać błogich owoców téj skomplikowanéj kąpieli.

W sali, w któréj spoczywasz, powietrze jest świeże i orzeźwiające; od strony ogrodu, zamiast ściany jest rzadka krata, po któréj wiją się pnącze i kwiaty, ufit jaśniéje bogatemi ozdobami, fontanny otoczone kwiatami tryskają strumienie czystéj wody, co razem połączone wywołuje nieopisane wrażenie jakiejś materjalnéj błogości, jakiemu równego nie zaznałem nigdy.

Po chwili zasypia się lub marzy z otwartemi oczami; pięknie przystrojeni Arabowie roznoszą nieustannie kawę, likwory, chłodniki potęgujące jeszcze stan lubej błogości, zdaje ci się żeś dosięgnął szczytu ziemskiéj szczęśliwości.

Ale skończmy te wspomnienia orgjelenistwa, tak na wschodzie upowszechnione.

Z Senuhrez do Medenet droga jest długa i nużąca, ale grunta są uprawne, i nie ma pustyni, piaszczystych wichrów *Kamsinn'u* i jego dokuczliwych fi-glów. Niezliczona liczba kanałów przerzynających tę okolicę, zamienia drogę w prawdziwy labirynt, w którym co krok zabłądzić by można; dokładny plan albo przewodnik jest niezbędny.

Miejscowość ta leży w pobliżu wielkiego kanału zwanego kanałem Józefa; roślinność dosięga tu rozwoju wszelkie przechodzącego pojęcie. Drzewa i krzaki nie mające zazwyczaj bardzo wielkich rozmiarów, tu tworzą niebotyczne zielone sklepienia. Cytryny i pomarańcze dorównywają wielkością i układem naszym najpiękniejszym dębom. Jak okiem zasięgnąć można, gaje z kaktusów i aloesów ciągną się nieprzerwanie po obu stronach drogi, tworząc jakby nieprzebyty szaniec.

Już dojeżdżając do Medinet, widzieliśmy wielki ruch i ożywienie, jakiego dotąd nie spotkaliśmy w żadnéj z przebytych wiosek ani miasteczek. Co krok mijaliśmy, to bogato strojnych jeźdźców, to gromadki umundurowanych żołnierzy, to szybko uwijających się mieszkańców, znamionujące ważne handlowe i urzędowe stanowisko miasta, ale odejmujące mu wiele malowniczości i miejscowego kolorytu. Z trudnością pozwolono nam rozpiąć namioty nasze pod miastem; ubiór mieszkańców jest tu już znacznie zmieniony, a i obejście nie odznacza się już ową słodyczą i prostotą cechującą fellaków.

Przed zwiedzeniem miasta zrobiliśmy wycieczkę do poblizkiéj wioski Fidemine, która mało odwiedzana przez podróżnych, przechowała dotąd pewne, tak dziś coraz rzadsze, piętno dzikości i odosobnienia.

Droga prowadząca do Fidemine wije się nad brzegiem kanału Józefa; przebywszy prawdziwe sawany nieznanych nam plantacj, zapuściliśmy się w kręte drożyny krzyżujące się wśród lasu, tak trudne do przebycia, jakby tu nigdy ludzka nie postała stopa. Robinson mógłby łatwo wziąść tę miejscowość za swoją bezludną wyspę. Bluszcze i przeróżne wielkie pnącze zagradzały drogę, przerzucając się z jednéj jej strony na drugą, i otaczając rozmaite drzewa jakby pragnęły pochylić je ku sobie i jednym połączyć uściskiem. Wielbłądy nasze z trudnością przedzierały się przez te przyrodzone zapory. Jadąc ciągle przez las tak zagęszczony, nie postrzegliśmy, że znajdujemy się na wielkiéj bardzo wyniosłości, u stóp któréj ciągnęła się niezgłębiona przepaść. Spuszczenie się z tego wzgórza było bardzo trudne i niebezpieczne, musieliśmy zsiąść z wielbłądów i prowadzić je za uzdy.

Nareszcie dostaliśmy się na dolinę poprzerzynaną srebrzystym strumykiem, i tu rozpięliśmy nasze namioty, w pośród olbrzymich palm, aloesów i przeróżnych drzew i krzewów, dziwnych, nieznanych nam gatunków.

Nazajutrz rano szeik miejscowy powitał nas uprzejmie; mieszkańcy przyjęli nas bardzo serdecznie. Tak szeik jak i oni nie byli to *wesołe kumoszki z Senupres*, ale prawdziwi fellahowie arabscy, których obejście proste, poważne i pełne godności, szczególniéj nam się podobało.

Był to właśnie dzień targowy, co dało nam sposobność patrzeć na ożywione i malownicze sceny, odsłaniające nam najwybitniejsze cechy charakteru mieszkańców Fidemine. Mężczyzni są wysocy i silni, twarze ich są po większej części piękne i wyraziste, kobiety zazwyczaj niskiego wzrostu, odznaczają się żywością ruchów; dzieci do lat dziesięciu nie znają innego ubrania nad to, którem matka natura odkryła ich od urodzenia. W ogóle w całym Egipcie rażąca zachodzi sprzeczność między pięknemi kształtami mężczyzn, a nędzną i zawiędłą budową kobiet.

Smutna też tu jest dola kobiety. Jak tylko przestaje służyć za bawidełko i ozdobę haremu, w téj chwili strącona zostaje do rzędu bydląt zaciężnych.

Mężczyzni całkowicie golą głowy, zostawiając tylko na czubku małą kępkę włosów zwaną Mahometem. Co znaczy nazwa proroka nadana garści włosów—nie wiem,—to tylko pewna, że Arab nigdy prawie nie odkrywa głowy, i z brytańską pychą strzeże się pokazania téj śmiesznéj ozdoby.

Straszną plagą ludności jest niesłychanie rozpowszechniona choroba oczów, skutkiem któréj połowa mieszkańców jest niewidomych lub przynajmniej jednookich, i stąd powstało przysłowie: że u trzech Arabów znajdziesz co najwięcéj cztery oczy." Obok innych powodów, już same niechlujstwo nadzwyczaj przyczynia się do rozszerzenia tego dotkliwego kalectwa.

Ryż, zboże, kukurydza i trzcina cukrowa, są głównym przedmiotem targów pod gołem niebem odbywanych. Obok tego każdy przychodzeń przynosi z sobą kosze pomarańcz i rozmaitych owoców, ale te więcéj się rozdaje niż sprzedaje. Te produkta wschodnich ogrodników dostawiane przez osły, wielbłądy lub bawoły, właściciele rozciągają na matach lub kobiercach i spokojnie palą fajki, a kobiety pełnią czynności tragarzy. Wszędzie tu równie jak na całym Wschodzie, kobieta skazaną jest na najcięższe prace jéj przechodzące siły,—a barbarzyństwo to uświęcone religią mahometańską, nie prędko pewnie ustani e.

Naza jutrz z żalem opuściliśmy te dziką i malowniczą okolicę i wróciliśmy do Medinet.

Medinet jest rezydencją wicekróla; ruch i gwar panujący na ulicach przypomina Kair. Ogromny kanał Józefa ciągnie się wzdłuż miasta, dochodząc aż do jeziora Birket—Kerun i jest w tem miejscu tak szeroki, iż wygląda jak rzeka. Ta właśnie szerokość kanału jest powodem, iż uczeni spierają się o jego pochodzenie; jedni utrzymują że jest dziełem pracy ludzkiéj, inni że powstał z naturalnego zboczenia Nilu. Cieka we bardzo krążą tu legendy o jego powstaniu i biblij nem pochodzeniu.

Jak okiem dojrzeć można, ogromne łodzie i statki zalegają brzegi kanału, przywożąc lub zabierając zboże i słomę z ostatnich żniw; oprócz tego wielkie karawany, współzawodnicząc z żeglugą, utrzymują ciągłą kommunikację między Medinet a Kairem.

Pierwszorzędne stanowisko miasta, skłoniło rząd do przeprowadzenia kolei żelaznéj przez piaszczyste ruchome wybrzeża Nilu, z któréj i my nie omieszkaliśmy korzystać. Teraz zajrzyjmy do miasta.

Jest to miasto prowincjonalne, i nie może się poszczycić ani takiem bogactwem budowli i pomników jak Kair, ani równą rozmaitością ubiorów; nie wielu spotkać można spacerujących bez celu, ale za to ulice roją się kupcami i sprzedającymi zboże i produkta krajowe. Wszystko zwiastuje wysoki rozwój handlu rolniczego.

(d. c. n.)

Różne wiadomości.

Kokan.

Po zdobyciu Chodżentu przez wojska rossyjskie w roku 1866, hanat Kokański, czyli jak go także nazywają *Kokanija* albo Kokan, ma znacznie już teraz obciętą przestrzeń (około 200 mil kwadr:), ograniczoną od północy górną częścią rzeki Syr, a od południa pasmem gór Kaszgar-Dawan na granicy z Bucharą i Tioń-Szań graniczącém z chińskim Turkiestanem: Oprócz Kokanu, stolicy, pozostaje teraz we władzy hanatu tylko pięć głównych miast: Ispra, Marglan, Namangan, Andyżan i Usz. Wszystkie leżą w dolinie Syru, w bardzo bliskiéj odległości; z pomiędzy nich Usz, leży od Kokanu o 150 a od Chodżentu mniej niż 300 wiorst. Od północy nie ma już naturalnéj granicy dla hanatu, bo zawojowany przez Rossyjan Chodżent znajdując się na lewym, południowym brzegu Syru, zabezpiecza w bliskiéj przyszłości całkowite zajęcie téj rzeki, płynącéj wzdłuż całéj Kokanii, od górnéj części do ujścia. Na zachód linja graniczna od Chiwy tak mało znacząca, zaledwie koło 70 wiorst, że mówić o niéj nie warto, tem więcéj jako o granicy, rzeczywiście niczem nie oznaczonéj, na pustéj równinie stepu.

Od wschodu przytyka do Kokanu bogaty należący do Rossyi kraj Zaiłyski, który solidarnością warunków klimatu bardzo jest podobny do południowych kokańskich posiadłości. Pozostaje zatem tylko jedna granica południowa, ciągnąca się do 600 wiorst ale prosty rzut oka na kartę przekonywa że długie istnienie hanatu Kokańskiego, jako państwa niepodległego, już nie możliwe, los jego już rozstrzygniony i bardzo bliski czas, kiedy bez żadnego zewnętrznego nacisku, jedynie w skutku naturalnego biegu wypadków, musi stracić swoję samobytność polityczną.

Zupełna nicość, a przytem z każdym rokiem zmniejszające się znaczenie terrytoryalne Kokanu, wobec potężnych sąsiadów, rozterki domowe, bezładny rząd przy dzisiejszym młodym i bez charakteru hanie, posunięty prawie do anarchii, zgnębiony stan narodu i ztąd głównie jego nie produkcya, chaotyczne położenie samego kraju, nie mającego ani porządnych dróg, ani urządzonych należycie miast i wsi, ani środków i rąk do obrobienia swoich płodów, brak wszelkiego systematu w zarządach wewnętrznych, nieład w finansach, nicość siły zbrojnéj i t. d.; to wszystko przemawia, że nie trzeba bydź prorokiem, żeby przewidzieć bliski koniec hanatu. W obecnym czasie jest to zniszczony organizm, obcięty przytem niedawnemi operacyjami oręża rossyjskiego całkiem pozbawiony wewnętrznych żywotnych pierwiastków, mogących wytrzymać działanie elementów cywilizacyjnych, wnoszonych przez poddanych rossyjskich do Azyi środkowéj. Z tego powodu nie masz dla niego odrodzenia, chociażby w miejsce teraźniejszego słabego hana, wystąpił niespodziewanie człowiek genijalny i stanął na czele Kokańczyków: z niczego i w krótkim czasie utworzyć nowego hanatu niepodobna. Niepodobieństwo to staje się tem oczywistszém, jeżeli weźmiemy na uwagę, że Chiwa, a zwłaszcza Buchara nie pozwolą rozszerzyć swoim kosztem posiadłości Kokańskich. Z drugiéj strony leżą Chiny, kraina całkiem odmiennego rodzaju, obszerna i względnie potężna, pozostaje zatem tylko Rossyja, potężne mocarstwo europejskie, które przy wyższości swoich sił wojennych nad azyjatyckiemi zgrajami, wysyła przeciw sto tysięcznym armijom tych rabusiów, zawsze nieliczne tylko kompanije z konieczną jak wszędzie artylleryją.

Hanat więc Kokański odrodzić się nie może, i kwestyę te zaliczyć należy do rzędu już rozstrzygniętych, jeżeli nie *de facto*, tedy *de jure*.

Dla nas daleko ważniejsza rzecz dotknąć się innego niemniéj interessującego przedmiotu, mianowicie do którego z wyżéj wymienionych sąsiadujących mocarstw, przyłączenie resztek Kokanu będzie dogodniejszem i więcéj podobnem?

Zaczniemy od Chiwy. Chiwa skupiona najwięcéj koło niższych części Amuru, Darji i oddzielona od posiadłości kokańskich ogromnym Stepem Kizyłkum, nigdy nie zwracała na Kokan chciwych i pożądliwych spojrzeń, nietyle z powodu trudności opanowania go, ile dla niemożności z powodu odległości, zatrzymania tego kraju przy swych posiadłościach. Buchara granicząca z hanatem Kokańskim na znacznéj przestrzeni i emirowie bucharscy, jak wiadomo ciągle usiłowali wpływać na sprawy Kokanu, i mieli na widoku zawojowanie téj bogatéj krainy. Ale od niedawnego czasu, kiedy cała Taszkenja, to jest miasto Taszkent z jego obwodem przyłączono już do Rossii, z dawnego hanatu Kokanu pozostała tylko tak nazwana Fergana, wyraźnie oddzielona od Buchary wyniosłem pasmem Kangar-Dawanu. Z resztą na cóż Bucharze ta prowincja, kiedy główna żywotna arterja ostatniéj, rzeka Syr, już prawie do niéj nie należy i nigdy należeć nie może? Tym sposobem Kokan i dla Buchary także nie jest przydatną ziemią. Lecz gdyby nawet Buchara, mogła opanować Kokan, to tylko podałoby mnóstwo powodów do starcia się z Rossją, na co ostatnia pozwolić nie może, nie przedsiewziąwszy środków uprzedzających. Co się tycze Chin, to ze względu na ich zamknięcie się w samych sobie, tudzież dla innych przyczyn, można rzec stanowczo: że Cesarstwo bogdychańskie, opasane od strony Kokanu naturalnym murem—pasmem Niebieskim (Thian-Szań) nie odważy się przestąpić kiedykolwiek tę granicę dla nabycia takiéj ziemi jak kanał Kokanu, którego nie wiążą z niem ani naturalne drogi i korzyści, (żadnéj bowiem nie masz rzeki na chińsko-kokańskiéj granicy), ani też węzły narodowe.

Jeżeli zaś Kokan samobytnie istnieć nie może, bydź celem zamachów ze strony Chin i Chiwy, oraz przedmiotem pokuszenia dla Bucharji—jakiż los czekać go może?

Z tego wszystkiego łatwo wyprowadzić wniosek: że ostatek istniejącego dzisiaj jeszcze Kokanu, tak z położenia geograficznego, jako też przez związek z należącym już do Rossji Taszkientem, jak równie dla orograficznych własności i wielu innych przyczyn, musi należeć do Rossji. Nie trzeba jednak upatrywać w tém żądzy podbojów, jak głoszą niekiedy mówiąc o sprawach Rossji w Azji gazeciarze zagraniczni, same okoliczności tak się ułożyły, że powrót do dawniejszego stanu całkiem jest niemożliwy.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 30 r. 1872.

NA WYSPIE

POWIASTKA

PRZEZ

ELIZĘ POLKO.

(Dalszy ciąg)

„Piątek rano."

„Całą noc nie spałam—leżałam jak w śnie gorączkowym, a jednak dziwnie czuję się pokrzepioną! Ciągle widziałam je przed sobą, to przepotężne morze! Takie było łagodne i ciche, oddychało zlekka jak pierś człowieka, na każdéj fali iskierka światła błyszczała. Przyszła mi na myśl pieśń Szuberta, w któréj śmierć tak uroczyście mówi:

„Jam twój przyjaciel, nie karać przychodzę;
„A więc bez trwogi, jam nie taka sroga,
„W mojem objęciu cicho zaśniesz w drodze"

„Nie doznałam ani obawy, ani przerażenia na jego widok; usiadłam na ostatnim stopniu wązkich schodów prowodzących na wybrzeże, i zdawało mi się, że po krótkim wypoczynku mam iść daléj przez piasek i rzucić się w tę ziemską nieskończoność,—i że ona mnie lekko przeniesie, na miękkich falach, w ową nieskończoność wieczną, w któréj panują tylko miłość i pokój. Takiego wrażenia nigdy nie doznawałam! Wszystko co mię dręczyło, przepadło gdzieś bez śladu, natomiast jasnem światłem zabłysły mi wspomnienia z błogich lat dziecinnych. Myślałam o ojcu, o domu rodzicielskim, o snach moich dziewiczych! A wszystko zlewało się zwolna w łagodnych barwach, tylko jedno uczucie pozostało jak dawniéj, płomienne i palące: tęschnota za jednem choćby spojrzeniem, za jednem słowem—za jakimkolwiek bądź znakiem jego pamięci.

„Zobaczyć go! zobaczyć go jeszcze!"—ten jeden krzyk podnosił się we mnie coraz głośniéj i głośniéj. O! są męczarnie i jest szczęście, których wszystkie wody oceanu nie są w stanie ugasić ani zniszczyć; teraz wiem to doskonale. Nie jeden cud mi się objawił,—dwa ich naraz poznałam: morze, i wiekuistość miłości.

„—Czego pani płacze? Czy pani nie może już iść daléj? zapytała mnie z obawą stara Dorys, podchodząc ku mnie, ażeby mnie lepiéj płaszczem otulić.

„—Czego płaczę?—nie wiem! Jam taka szczęśliwa! odrzekłam, a daléj nie pójdę; zostanę tutaj, zostanę! I nie wiedziałam zupełnie, że łzy płynęły mi z oczu, aż na załamane ręce—aż na ukochany mój pierścionek, na mego biednego Leandra!

„Dzisiaj w gazecie, którą Dorys gdzieś wynalazła, wyczytałam wiadomość, że „genialny Herbert"—tak go dziś nazywają—zamierza opuścić Rzym, i na dłuższy czas wrócić do Niemiec. Obok tego była chlubna wzmianka o jego najznakomitszych obrazach: o scenach z Kampanii i studjach morskich z neapolitańskiego wybrzeża. Tak więc on dobił się wcześnie tego, czego mój ojciec dostąpił dopiero po śmierci, sławy!..... Jak to musi być słodko czuć chłodny laur około skroni; a jednak poeta śpiewa:

„Jak bezowocnie głowę i bezwonnie stroi
„Laur, kupny mnóstwem ofiar, za które nie stoi!

„Wiadomość tę odczytywałam po kilkanaście razy. To tak dziwnie, widzieć ukochane nazwisko wspominane publicznie w ten sposób na poły radość, na poły strach nas zdejmuje. Nie radzi go światu odstępujemy, a jednak dumni jesteśmy, że je wszyscy z taką chlubą wspominają...... Dziennik ten miał już ze dwa miesiące, czy on też na prawdę od tego czasu był w Niemczech, i gdzie?... Żadne inne pismo, o ile wiem, nie podało od téj chwili najmniejszéj o nim wiadomości, gdyż w domu będąc pewniebym to była dostrzegła. Wpatrywałam się w ukochane nazwisko jak w twarz nieboszczyka. Dla czego ja tego pisma wcześniéj nie zobaczyłam, dla czego ono dopiero tutaj w rękę mi wpadło?

„Wieczór"

„Byłam na spacerze! Dziwna rzecz, jak widok morza rozbudził uśpioną moją energię. Dusza napiła się niby jakiegoś wzmacniającego trunku, a wraz z nią i ciało siły nabrało. Sama sobie wydziwić się nie mogę, iż czuję, że znowu czegoś pragnę: ja która niczego już nie pragnęłam, pragnę używać morza od rana do wieczora! Dzisiaj zeszłam już na dół po schodach i chodziłam po głębokim, miękkim piasku wybrzeża; niebo nie było tak jasne, i morze nie tak spokojne jak wczoraj. Gdzieś z daleka przyciągały zwarte szeregi niezliczonych fal, jedne drugie popychając i prąc naprzód z pośpiechem, a wszystkie fantastycznie strojne koronami z białéj piany, które niosły do brzegu. I te cudowne korony z lekceważeniem porzucały na piasek wybrzeża, jako zbyteczne, ciążące im skarby, które mi się już uprzykrzyły. Napatrzyć sie temu nie można, bo coraz nowe a nowe skarby napływają. Gdzie też to może być ta niewyczerpana, olbrzymia skarbnica, którą morskie fale chcą wypróżnić, a która jednak wiecznie pełną zostaje? A te fantastycznie pływające domy, zamki, pałace, olbrzymie łabędzie z szeroko rozpiętemi skrzydłami, pojawiające się co chwila, to statki! Morze wszystko co się w jego pobliżu znajduje czarodziejskim odziewa urokiem, nawet te ciężkie, drewniane, ręką ludzką zbudowane machiny, z całą plątaniną lin, masztów, żagli i kół, z dymiącemi kominami, przybierają najdziwaczniejsze kształty, stają się prawie żywemi istotami, gdy się ukażą i płyną ciche, dumne, poważne, a potem znikają jak duchy. I oko mimowolnie sięga za niemi, myśli przeganiają się niby fale i coraz nowe powstają, niby sny, niby postanowienia, ale nic małego, nic poziomego pojawić się nie śmie, stajemy się lepszemi, jaśniejszemi, widzimy daléj. A kto chce wiedzieć, czy prawdziwie kocha, niech popatrzy na morze. Tylko silne uczucia dostoją tam kroku, wszystko zresztą jak mgła ustąpić musi.

„Ja wiem teraz, że *go* kocham i wiecznie kochać będę.

„Sobota rano."

„Nigdy nie mogłam pojąć, jak można żyć bez drzew i kwiatów, teraz wiem, że nad morzem o *niczem* się nie myśli, tylko o *niem*. Jak despotyczna kochanka wymaga ono całéj naszéj duszy, całéj, nieustającéj uwagi; a ruchliwością swoją, swoją wiecznie nową, dziwną, porywającą pięknością może nas podbić, może utrzymać w czynności, w ciągłym, dech w piersiach zapierającym niepokoju. Do téj chwili nie miałam czasu zatęschnić do drzew i kwiatów stałego lądu. Niektórzy goście kąpielowi żalą się słyszę na to, że na całéj wyspie nie ma ani jednego publicznego ogrodu. Czyż to nie warte śmiechu!? Dziwne bo są ludzkie życzenia! Człowiek chciałby wszędzie wlec za sobą ślimaczy domek swego ograniczonego codziennego żywota. Zaręczam, że znalazłoby się wielu takich, coby gotowi byli na wybrzeżu morskiem założyć ogródek z kawą i piwem, i próbować czy orkiestra nie zagłuszy olbrzymich morza organów.

„Zauważałam także, że nader rzadko spotykam ludzi na wybrzeżu. Jaki taki wykąpawszy się, niby po opłaceniu podatku lub załatwieniu interesu, ucieka czemprędzéj i cały dzień już nie zajrzy na morze, ja znów przeciwnie: całemi godzinami siedzę na brzegu, i zapominam o świecie i o wszystkiem, wyjąwszy *jego* jednego!

„Wieczór."

„Powietrze tutejsze cudowny wpływ na mnie wywiera. Nawet ta ciągła walka z wiatrem nie nuży mnie, ale owszem hartuje moje siły. Czyż pewnego rodzaju walka miałaby być koniecznie potrzebną do utrzymania naszéj cielesnéj i duchowéj egzystencji? Tak się zdaje!

„Wyspa wygląda niezmiernie opuszczona; ale nie trzeba patrzeć na ląd, tylko na fale! Czerwone oko latarni morskiéj, ta zbawcza gwiazda dla biednych rozbitków, tak poważnie patrzy na morze!

„Dorys nie byłaby zniosła tych dalekich, jednostajnych moich wycieczek, dobrze, że mój wierny nowofundlandzki pies wszędzie nigdy mnie nieodstępuje. Jak czarny cień idzie wszędzie za mną, każdéj chwili gotów oddać życie w obronie swéj pani. Wielkie też to dobrodziejstwo, taka psia wierność; pojmuję doskonale przywiązanie Byrona do owego Boatsa, jego ukochanego i niezapomnianego „towarzysza i przyjaciela", który, jak nagrobny napis powiada: psem był tylko.

„Dzisiaj widziałam jedyne na wyspie drzewa, grupę z kilku małych brzóz złożoną.

„Ręka wiecznego wiatru igra z niemi i nie pozwala im urość.

„Wiatr kocha je, chwyta w swoje objęcia, bawi się delikatnym ich włosem, czochra go i płącze dziko.

— One walczą i pasują się z nim, jak owe biedne motyle albo małe ptaszki, z okrutną miłością dzieci, która je dręczy i pieszcz zotami zwolna dobija. Ale śmierć tak powoli przychodzi, i tak się nie chce umierać kiedy się jest kochanym! Tak sobie też myślą i te biedne brzozy, żyją więc i tylko jęczą bez ustanku: Dla czego nas tak dręczysz, kiedy mówisz przecie, że nas kochasz?!"...

„Morze było ciemno zabarwione i niespokojne; co pięć kroków stawałam albo siadałam, żeby się temu rozkołysanemu bezmiarowi przypatrzyć. Ilekroć gwałtem odwróciłam się, oderwałam oczy od tego widoku i szłam daléj, tylekroć jakaś nieprzeparta siła zmuszała mnie nagle znowu spojrzeć na morze, a za pierwszym rzutem oka wpadałam napowrót pod władzę niepokonanego czaru. Jak ono sroży się na jedynego tyrana, który mu czoło stawić śmie, na wicher! Jak te dwa dzikie żywioły kochają się i nienawidzą zarazem! One tak są dla siebie stworzone jak Grimhilda i Zygfryd; a jednak morze tak często odgrywa rolę zuchwaléj Brunhildy i walczy z nim. Nic w całéj naturze oprzeć mu się nie waży wszystko kłoni się przed jego siłą, najsilniejsze drzewa pada-

ją u jego stóp, skały drżą, chmury uciekają przed nim, ono jedno staje z nim śmiało do śmiertelnéj walki! Po czyjéj stronie w końcu zostaje zwycięztwo? Któż to odgadnie! Natura nigdy nie zdradza swoich tajemnic. Ludzkie oko widzi już tylko pojednanie, błogie szczęście, głęboki, uroczy spokój obojga,—widzi jak ciche a wzruszone jedno roztapia się w drugiem, szepcąc sobie nawzajem tysiące płomiennych, drżących słów miłosnych.

„Wieczór."

„O Boże! cóż ja to odkryłam, co za miejsce niezgłębionego smutku, mały cmentarzyk wśród nadmorzeńnego piasku! Dokoła otacza go wał z ziemi, a do środka prowadzi brama na któréj rozczulający napis: „*Przytułek Rozbitków*"! Wewnątrz pagórek obok pagórka, na każdym prosty krzyż drewniany, a na każdym krzyżu tylko rok i dzień wypisany. Stary rybak, którego tam spotkałam, powiedział mi, że oni grzebią tutaj nieznane ciała, które morze na brzeg wyrzuca. Rok i dzień wypisane na krzyżach wskazują datę ich znalezienia. Od r. 1856 dwudziestu rozbitków znalazło tu wieczny przytułek. Ani jednego kwiatka, ani trawki, ani listeczka, tylko piasek, który mi się zdawał wilgotnym od łez tajemnych. Uklękłam mimowolnie na pierwszym grobie i poczęłam się modlić. Niewypowiedziany smutek mnie ogarnął, zdawało mi się że się we łzach rozpłynę, radabym była wieńcami i palmowemi gałązkami ustroiła te biedne, nagie mogiłki.

„Jak zaklęta siedziałam przy owym grobie, na którym zrazu uklękłam. Zdawało mi się, że ja jestem także jednym z owych rozbitków, i że przyszłam tutaj szukać spokoju i tak dawno, tajemnie upragnionego spoczynku. Jakże byłabym rada zasnęła! Ale czyżby mi dała była usunąć *tęschnota*?!.....

„Na drugim końcu cmentarza, spostrzegłam w podeszłym już wieku kobietę w ciężkiéj żałobie, siedzącą przy jednym z grobów, ze spuszczoną głową, jakby spała. Potem pojawił się służący, który ją do domu odprowadzał i stołek nosił za nią.

— Biedna staruszka od pięciu lat przyjeżdża tu regularnie w sierpniu, rzekł rybak, i zdaje się, że się jéj trochę pomięszało w głowie. Po całych godzinach siedzi na tem miejscu, i nikt jéj od téj mogiłki odciągnąć nie zdoła. Jest to wdowa, która straciła na morzu jedynego syna, znanego, młodego kadeta od marynarki. Nikt nie wie gdzie okręt zatonął; ona więc, pływała od wyspy do wyspy, szukając jakiegokolwiek śladu, gdzie go fale zaniosły. Nareszcie jednego dnia zawitała tutaj, i odtąd przesiaduje przy tym krzyżu, na którym stoi rok jego śmierci, a dzień na krzyżu zapisany ma być dniem jego urodzin. Jéj się zdaje że on tam leży, i nikt jéj tego wyperswadować nie potrafi. I kto wie czy ona nie ma racji! Serce matki, to rzecz cudowna!

„Biedna, osierocona matka! Oczy moje napełniły się łzami, i złożyłam na tym grobie jedyne jakie tu znalazłam kwiatki—mały, ubogi bukiecik z morskich róż. I ów grób z małym krzyżykiem, wydał mi się naraz tak pięknie przystrojonym w pośród innych... I matce sprawiło to przyjemność, gdyż popatrzyła na mnie z mdłym, ale pełnym wdzięczności uśmiechem. Kto śpi w tym grobie, którego strzeże biedna staruszka? Jestże to na prawdę jéj syn stracony? Miałożby serce matki nie odszukać dziecięcia, choćby ono leżało najgłębiéj pogrzebane pod lodem, pod śniegiem? Ona czuje gdzie ono śpi—i znajdzie drogę do niego!

„Jutro i na inne groby przyniosę kwiatków—tych małych, i bladych, jasno-żółtych gwiazdek, które tu morskiemi różami nazywają. *Dona nobis pacem*"

* *
*

— Niech pani tego listu nie czyta, rzekła stara Dorys wchodząc z listem w ręku do pokoju swojéj pani, to od panny, to się pani znowu z pewnością zmartwi..

Elżbieta wyciągnęła ku niéj wychudłą rękę.

— Daj, daj, daj! Tutaj nic mnie tak mocno nie dotyka jak w domu. Tutaj, tak mi się przynajmniéj zdaje, wszystko znieść potrafię. A zresztą, cóż ona mi może napisać, czegobym już od niéj w stokroć przykrzejszych wyrazach nie słyszała? A więc nie lękaj się.

List zawierał w sobie zaledwie kilka wierszy,— ale delikatna twarz czytającéj w ciągu czytania śmiertelną powlekła się bladością.

— Co to jest? Na co to pani czyta?... A co, nie mówiłam? Ona nas jeszcze zabije! zawołała stara.

— O Dorys! już po naszéj złotéj wolności! odrzekła Elżbieta głosem złamanym;—ona tu przyjeżdża, nasza dręczycielka!... Za osiem dni wybiera się z domu; tak pisze.

I dwoje niebieskich ócz, z wyrazem niemej, bezwładnéj rozpaczy podniosło się na twarz wiernéj sługi.

— O jeżeli tylko tyle, to Bogu dzięki! z tego nic nie będzie! zawołała Dorys tonem stanowczym. Nie puścimy jéj tutaj, i basta! Zaraz biegnę do doktora; to jest rozsądny człowiek i można z nim na rozum pogadać. On jéj zakaże przyjeżdżać tutaj. Tylko nie trzeba tracić fantazji! Ja zaraz idę. Ona tu nosa nie pokaże, powiadam. Doktór musi być jeszcze w domu, gdyż ktoś obcy zajechał do niego wczoraj już późnym wieczorem, więc mają zapewne ze sobą jeszcze nie jedno do pogadania. Niech się pani nic a nic nie trapi—za pięć minut będę z powrotem.

Jakoż niebawem wróciła z promieniejącem obliczem, i ze drzwi już wołała:

— Wszystko dobrze! Doktór sam do niéj napisze południową pocztą. Może więc pani spokojnie sobie iść na spacer,—panna Anna nie postoi na naszéj wyspie. A na pociechę przynoszę oto parę prawdziwych róż,—nie tego szkaradnego, żółtego, lichego chwastu, który tu różami nazywają. Ten pan co przyjechał wczoraj, przywiózł ogromny bukiet pani doktorowéj, a ona podarowała mi kilka róż dla pani. Chwała Bogu, że człowiek przecie będzie miał coś porządnego powąchać.

— Dobrze mówisz,—rzekła z melancholicznym uśmiechem Elżbieta—chwała Bogu, że stworzył takie piękne kwiaty! Ale czy ty myślisz, że to na prawdę co pomoże, że doktór do niéj napisze?

— Ale z największą pewnością! Powiedział mi, że ją okrutnie nastraszy chorobą morską, że jéj napisze iż tutejsze powietrze jest dla niéj zabijające, a wreszcie, że on i tak panią niedługo ztąd wyprawi.

— A jednak ona tak stanowczo pisze....

— Ale zkąd jéj to przyszło tak nagle?

— Ja myślę, ztąd, iż widziała że moje listy były nieco weselsze!

— A! oczywiście! ona tego znieść nie mogła!

— Pisze mi także, że dostała listy z Ameryki, z których wnosić można prawie z pewnością, że mąż mój zapędzony gdzieś został ze statkiem „Ondyną", ale nie zatonął. Wprawdzie dotąd nie ma żadnéj wieści o "Ondynie", ale też nie ma i wiadomości o jéj rozbiciu.

— O! ona panią zabije temi swojemi szaleństwami! Pan już dawno jest na tamtym świecie—to rzecz taka pewna, jak to, że ja tutaj stoję, i doprawdy, że to grzech wielki, tak co dzień o tem gadać, że on wróci!

— Daj pokój, Dorys;—ja czuję, że zasłużyłam na tę karę—nie jestem bez winy.... Będąc żoną, myślałam o *innym*.... Ty przecie wiesz wszystko!

— Przepraszam, ale pani temu nie winna! Pan Herbert był wtedy, tak jakby narzeczonym pani— i gdyby nie nieboszczka pani starsza........ No ja powiadam pani, że tam nie wszystko odbyło się jak należy, i że mąż pani miał także niemało względem pani na sumieniu! Już ja pani powiadam!

— Przestań! na miłość boską przestań! zawołała Elżbieta ze drżeniem. Na co to wszystko?... Ja nie chcę nic wiedzieć, nie chcę nic badać; pragnę pokutować, jakem na to zasłużyła!... Tylko jednéj rzeczy nie zniosę, to jest tego, żeby ona tutaj miała za mną przyjechać, tutaj, gdzie przecież trochę zaczęłam kosztować spokoju!

— O! o to niech pani będzie spokojna! Cóż to? czy to mnie tu nie ma? Jakby na to przyszło, to ją sama na plecach na okręt odniosę, a pani jej na oczy nie zobaczy! zawołała stara Dorys, a przez pomarszczoną jej twarz przemknął uśmiech tryumfu.

Wieczorem Elżbieta udając się na zwykłą swoją samotną przechadzkę, zabrała ze sobą róże. Wieczór ten był znów jedną z owych wielkich uroczystości pojednania w naturze. Niebo i morze błyszczały, morska toń drżała rozkosznie, jak oblubienica pod całunkami lubego. Słońce zapadało coraz niżéj, powierzchnia wody w coraz ognistsze przyoblekała się barwy, które znów blednąc zwolna, przeszły wreszcie w tęczowe błyski opalu. Elżbieta długo stała w niemem podziwieniu na widok tego cudownego obrazu, i nie prędko zaszła na cmentarz. Grobowa cisza panowała tu jak wczoraj, wczorajsze róże leżały jeszcze na grobie, biedna matka siedziała jak wczoraj, zatopiona w sobie i nieruchoma jak posąg smutku.

Cicho przesunęła się młoda kobieta pomiędzy rzędami grobów ku staruszce, chcąc jéj ofiarować przyniesione kwiaty; ale w drodze rozwiązał się jéj bukiet i parę róż upadło na grób około którego przechodziła. Jedna z nich, biała, zawisła na krzyżu. Zimny dreszcz przebiegł Elżbietę, gdy na nim datę swego ślubu wyczytała. Z pośpiechem posunęła się dalej. Bolejąca matka podniosła nieco głową ujrzawszy róże na swoich kolanach, i zwróciła na Elżbietę przyćmione wypłakane oczy:

— Czy i ty także straciłaś dziecię?

— Nie, ale męża.

— Ah! ty jeszcze taka młoda, boleść twoja chociaż ciężka, zawsze przeminie z czasem, moja skończy się dopiero wraz ze mną, bo tylko matki żal jest wieczny! A tutaj spi mój syn, mój żwawy, wesoły chłopiec, który mnie tak kochał,—o, ja wiem! W sierpniu się rodził, w sierpniu też przyjeżdżam tu zawsze!

I złożyła róże na grobie, załamała ręce, opuściła głowę na piersi, i już potem nie podniosła oczu.

Z ciężkim smutkiem w sercu odeszła od niéj młoda kobieta i wracała tą samą drogą. Przechodząc około grobu na który róże jej upadły, zatrzymała się mimowolnie.

— Przed pięciu laty, w samą rocznicę mego ślubu znaleziono go tutaj. Kto też to może być? "szepnęła...

Właśnie wtedy nadszedł był stary rybak i zaglądając przez wał zapytał, zadziwiony: Czy pani znała może tego co tu leży?

— Zkądże ja go mogłam znać? Dla czego się mnie o to pytacie?

— Bo ja tam mam jeszcze w schowaniu różne rzeczy, któreśmy przy nim znaleźli. O! okropna to była noc, nie jedno ona życie ludzkie połknęła! Brzeg pokryty był różnego rodzaju szczątkami, morze wyrzuciło trzy trupy, wszystkie pochowaliśmy tutaj. Ten oto wydawał się najmłodszym z pomiędzy nich. Gdy-

by tu pani jeszcze z godzinkę pozostała, to pokazałbym pani wszystko co mam po nim.

— I owszem, poczekam na was. Zmęczona jestem i chętnie chwilę wypocznę, rzekła Elżbieta uprzejmie; usiadła przy grobie, i zadumana patrzała za tą silną postacią marynarza, który skinąwszy jéj głową, szedł zwolna swoją drogą, aż nareszcie zniknął poza nadbrzeżnemi wzgórzami.

Gdy się Elżbieta ujrzała samą wśród umarłych, gdyż nawet owa biedna matka odeszła była do domu, przejęło ją nagle uczucie strachu. Zdala słychać było poważny, uroczysty szum morza. Daleko i szeroko do koła nie poruszała się żadna żywa istota, tylko od czasu do czasu przemknęła cicho zabłąkana mewa, ten melancholiczny ptak, co nigdy nie wydaje głosu i ani chwili nie spocznie. I żałowała, że nawet wiernego swojego psa dzisiaj z sobą nie wzięła. Czuła się tak opuszczoną! opuszczoną tutaj i wszędzie. Na całym świecie nie było ręki coby się ku niej wyciągnęła życzliwie, coby jej dała pomoc i opiekę! A ojciec, matka, mąż, nie żyją, a *on*? Gdzie *on* jest? *on* ukochany na wieki, niezapomniany nigdy!...

Gorące łzy pociekły jej z oczu. „O! oni szczęśliwsi odemnie! ci wszyscy co śpią tutaj cicho,—załkała głośno; oni już znaleźli spokojny przytułek na wieki.

Wtem dał się słyszeć jakiś męzki, powolny chód po piasku. Krew uderzyła jej do twarzy, czuła jak serce bić jej przestało. Kroki zbliżały się ku niej, a ona nie śmiała głowy obrócić; siedziała nieruchoma, skamieniała, ze spuszczonym wzrokiem, bo czuła jakby ołów w powiekach, jakby ciężki sen jakiś na nich leżał. Ale wreszcie jakiś cień przeciągnął się na grobie, musiała spojrzeć w górę. Obu rękami silnie przycisnęła piersi; przed nią stała wysoka, smukła postać mężka, blada twarz nachyliła się ku niej z wyrazem niewymownego bolesnego szczęścia! Dał się słyszeć krótki okrzyk zdumienia, oczy Elżbiety utonęły w oczach najdroższych jej na świecie!.. Bóg jest miłosierny!

Godziny upływały, zmierzch począł padać na groby, a kochankowie siedzieli jeszcze, trzymajac się za ręce na niskim wale cmentarnym.

Smutna musiała być historja którą sobie opowiedzieli, bo delikatna jej twarz była trupioblada, a na grube sploty jej ciemnych włosów, które rozpuszczone na plecy spłynęły, upadło kilka błyszczących kropli, z mężkiego oka. A tak cicho mówili, jakby tuż przy nich spał ktoś, kogo się bali obudzić.

— Więc tym sposobem nas rozłączyli, szeptał on, niech to Bóg matce twojej przebaczy; przejmowali nasze listy, a twój mąż wiedział o tem równie dobrze jak matka. Z jednej strony zazdrość, z drugiej macierzyńska troskliwość,—zwyczajnie, codzienna historja!.. I myśleli że my o sobie zapomnimy!.. Ale najokropniejsze cierpienie dzisiaj się dopiero dla nas zaczęło, Elżbieto! Znalazłem cię znowu, usprawiedliwiliśmy się przed sobą nawzajem, sam Bóg przywiódł mnie napowrót do stóp twoich. Jesteś wolna, a jednak, jak powiadasz, czujesz się skrępowaną nierozerwalnemi więzami! Czyż ręka nieboszczyka może tak silnie ciążyć na tobie? Chceszże mnie powtórnie utracić, chceszże mnie i siebie jeszcze nieszczęśliwszemi niż przed tem uczynić?

— Nie nieboszczyka ręka ciąży na mnie, ale ręka człowieka żywego, odrzekła, opuszczając głowę na jego ramię. On nie umarł, powiada Anna; a wtóruje jej ten oto pierścionek, ten mój biedny okaleczały Leander! Wiesz przecie co Karol napisał przy pożegnaniu.

On wziął ją za rękę; ręka ta blada, przezroczysta wymownie świadczyła o przebytych cierpieniach. Księżyc wypłynął był tymczasem na niebo, a w jego świetle błyszczało jasno nawpół przetrącone czoło Leandra.

Ucałował pokilkakroć smukłe jej paluszki i szepnął namiętnie:

— Tyle cierpiałaś, przez niego i przezemnie. I ja nie miałbym ci tego nagrodzić?.. Czy sądzisz, że mógłbym żyć z tą myślą?.. żebym ją znieść potrafił?

— Mnie bo się zdaje, że ta chwila szczęścia, to przekonanie, żeś mi wiernym pozostał, że mię kochasz i kochać będziesz wiecznie, da mi siłę do zniesienia wszystkiego! szepnęła Elżbieta i silniéj przytuliła się do niego.

— Nawet do zniesienia boleści drugiego rozstania?... zapytał, pochylając się z rozpaczą.

— Nie pytaj się o to! Teraz kiedy jeszcze jesteś przy mnie, czyż byłabym w stanie objąć całą okropność myśli że cię nigdy nie zobaczę!? O! nie pytaj mnie teraz o to!

— Ale ja nie chcę cię po raz drugi utracić! zawołał Herbert z mocą, i powstał.

W téj chwili właśnie ukazał się stary rybak, i podnosząc do góry małą latarkę zawołał: Pewnie się tu pani niecierpliwiła, że mnie tyle czasy nie widać, dobrze że pani nie sama, trochę zadługo zatrzymali mnie w domu. W krótce się ściemni do reszty, dla tego też zapaliłem latarkę, żeby było przy czem obejrzeć skarby zawarte w téj skrzyneczce, i z czem do domu wracać.

To mówiąc postawił małą skrzyneczkę na grobie.

— Tę oto haftowana książeczkę znaleźliśmy przy nim; pismo wprawdzie zmyło się w niéj zupełnie, ale te dwa loki ciemnych i blond włosów pozostały w kieszonce nietknięte, jakby je kto wczoraj dopiero uciął. Na piersiach znów znaleźliśmy to pudelko na złotym łańcuszku, a w niem t n dziwaczny kawałeczek kamienia, z nosem i ustami. Proszę, obejrzyjcie sobie państwo wszystko, ja poczekam.

Mógłby był długo jeszcze mówić, a Elżbieta nie byłaby mu przerwała. Ujrzawszy niespodzianie drugą połowę głowy swego Leandra, z głębokiem westchnieniem opuściła głowę na piersi ukochanego, który namiętnie cisnął ją w swoich objęciach. Głębokie omdlenie pozbawiło ju zupełnie przyt mności.

Więc on nie żyje, a Leander powrócił do niéj! Ów grób na który padły róże z jej ręki, był grobem jej męża, a te róże Herbert przywiózł ze stałego lądu!

* *
*

W rok późniéj, te same dwie postacie z cmentarza samotnéj wyspy, stały trzymając się w objęciach, w jednym z pomarańczowych ogrodów Sorrentu.

Herbert na inną ziemię przeniósł delikatny swój kwiatek, ażeby zakwitł na nowo pod łagodnem niebem pięknéj Italii, pod blaskiem wzroku miłości. I stało się jak pragnął i przewidział. Tuląca się do niego, w białéj sukni, z dziewiczym wyrazem, ale przytem z ufnością w siebie kochającéj i kochanéj kobiety, Elżbieta całkiem inną wydawała się teraz istotą. Jak to cudownie szczęście ludzi odmienia!... Elżbieta urosła, wypełniała, oko jej nabrało głębszéj barwy, na licach jej róże zakwitły; na jej czole spoczywał nieopisany wyraz głębokiego zadowolenia, do koła ust uśmiechy szczęścia igrały. Byłaż to ta sama kobieta, o któréj poczciwy lekarz na wyspie zawyrokował, że i roku nie pożyje na tym świecie?...

— Ja z tobą, tutaj wśród tego przepychu natury! odezwała się jakby we śnie rozkosznym, i spojrzała w poważną twarz mężczyzny, którego żoną teraz była.

— Czyż to prawda, że ja kiedyś byłam nieszczęśliwą?..

Oczy jej świeciły wilgotnym blaskiem, twarz powlokła się bladością głębokiego wzruszenia.

— O moje ty wszystko! odrzekł zcicha mężczyzna, stało się, co się stać musiało! Czyż zapomniałaś już wierszów:

„Usta co pocałunkiem takim się złączyły
„Anioł miłości wiecznym ślubem związał w niebie,
„I będą wiecznie, wiecznie do siebie tęschniły,
„Bo i życiem i śmiercią należą do siebie!...

* *
*

Anna w ponurym smutku pogrążona opłakuje śmierć brata, a unikając ludzi wiedzie żywot prawie pustelniczy. Bratowa nie widuje się z nią nigdy. Szczęśliwa para odwiedza corocznie ów grób na wyspie tak jej pamiętnéj. Postać bolejącéj matki przestała się tam już pojawiać, ale natomiast u stóp owego prostego krzyża, przy którym zwykła była długie przesiadywać godziny, leży teraz marmurowa tablica z takim napisem.

„I Pan oddał go matce!“

Tak więc połączyła się tutaj i druga para: matka z synem.

JERZY GOTTFRIED GERVINUS.

przez

Michała Gliszczyńskiego.

W ostatnich dwóch latach, nauka i polityka, humanizm i liberalizm utraciły wielu najznakomitszych przedstawicieli, jak Peabody, Faraday, Dumas, Oppolzer, Eötvös, Julian Bartoszewicz, Leonard Chodźko i t. d. Ostatnim z tego zastępu znakomitości, był Jerzy Gottfried Gervinus, który choć niemiec rodem, ale życiem swem, pracą i działaniem należy do całéj ludzkości, bo walcząc za prawdę i naukę w Niemczech, walczył tem samem za sprawę wszystkich ludów, za cały ród ludzki.

Tą drogą szło zawsze całe jego życie, w tym duchu zawsze myślał, pisał i działał. Cześć mu niech będzie w sercach wszystkich ludzi dobréj woli, a cześć i temu, kto się potrafi podnieść aż do wysokości wielkiego nieboszczyka!

Ludzie poczciwi i oświeceni w Niemczech i w całéj Europie, uznali Gervinus'a ze najpotężniejszego bojownika na polu postępu, liberalizmu i humanizmu; nie widzę tedy potrzeby wdawać się w obszerny i krytyczny rozbiór człowieka i dzieł jego. Dosyć mi na tem, żeby życie jego za wzór, a pisma za najpożywniejszy pokarm dla umysłu ziomkom moim polecić. Z tego to powodu podaję krótką tylko ale dokładną biografię Gervinus'a, w połączeniu z dziełami jak i kiedy pokazywały się czytelnikom.

J. G. Gervinus urodził się 20 Maja 1805 r. w Darmsztadzie. Ojciec jego był tam kupcem, to też i syna swojego przeznaczał do handlu. Przez cztery lata uczył się młodzieniec kupiectwa i buchhalterji w sklepie.

Mimo to chodził do miejscowego gymnazum; poznał dobrze starożytne języki, kilka nowych, szczególniéj angielski i francuzki. Najwięcéj jednak zajmował go teatr, a w teatrze—Szekspir. Wszystko to zapowiadało już wtedy, niepospolitego pracownika na tem polu.

Taki kierunek duchowy i takie wykształcenie nie pasuje z handlem; kupiec a literat uczony, to ogień i woda. Są na świecie nieuczeni literaci i ci zwykle bywają kupcami. Ale składowe pierwiastki Gervinus'a nie miały w sobie ani odrobiny funta i łokcia. Handel mu nie smakował; postanowił porzucić go i poświęcić się filologii, to jest językom, historji i literaturze.

Zwykle się to trafia wielkim ludziom, że ich ojcowie własni spychają z drogi wytkniętéj im przez niepojęty, wewnętrzny popęd ku wyższym celom, niż pospolite zwyczajne życie. Na szczęście, bardzo rzadko udaje się ten gwałt, a wtedy nie dochodzi do wiadomości historycznych biografji. To samo stało się z Gervinus'em. Ojciec jego opierał się zrazu, i dosyć mocno, téj przemianie zajęcia i losu syna na przyszłość, ale ustąpił w końcu. Młody Jerzy tak pilnie nad sobą pracował, że w pół roku mógł wéjść do uniwersytetu. Pierwszy rok słuchał kursów w Giescen, a przez następne lata w Hejdelbergu.

Między professorami w téj ostatniej szkole, tyle sławnéj w Niemczech, największy wpływ na Gervinusa wywarł Schlosser. Był to, jak wszyscy wiedzą pierwszorzędny historyk, odznaczający się szczególną bystrością poglądu i śmiałością wnioskowania, a jako człowiek z niepokalaną moralnością i nieugiętą stałością, z którą szedł zawsze prosto przed siebie, wypowiadając głośno, bez obwijania w bawełnę, co o kim myślał. Dwaj ci ludzie różni wiekiem, różnili się także i charakterem. Gervinus był z natury miększy i delikatniejszy niż Schlosser. Posiadał przytem wrodzoną, niezmiernie miłą i elegancką wesołość, któréj zupełnie brakowało wielkiemu nauczycielowi. A jednak grunt ich umysłowego i uczuciowego organizmu był tak pokrewny, że się wkrótce zawiązały między nimi najściślejsze stosunki. Pod wpływem Schlossera roztrzygnęło się nie tylko przyszłe powołanie Gervinus'a na historycznego pisarza, ale i kierunek jaki jego prace przybrać kiedyś miały.

Ci co czytali Schlossera wiedzą dobrze, że we wszystkich dziełach, szczególniej w *Historji 18-go wieku*, zawsze zwracał wytężoną uwagę na wzajemne oddziaływanie na siebie nauk, literatury, oświaty, oraz politycznego stanu narodu. To samo zapatrywanie się na literaturę i historję widać bardzo wyraźnie w *Historji literatury i w Historji XIX wieku* Gervinus'a. Co więcej, mają oni jeszcze to wspólnego między sobą, że oba zawsze i wszędzie i zgroźnym naciskiem odkrywają, bez żadnej osłony, moralną wartość ludzi i ich działania, czy to w massach czy w indywiduach.

Ukończywszy uniwersytet w r. 1828 Gervinus mieszkał przez dwa lata w Frankfurcie n. M. jako nauczyciel domowy i na pensjach. W r. 1830 uzyskawszy w Hejdelbergu stopień doktora, został priwat-docentem przy tamtejszym uniwersytecie. Oprócz historji powszechnej i historji Niemiec, miewał prelekcje o literaturze i o polityce niemieckiéj. W. r. 1832 zawiesił na pół roku swoje nauczanie, bo mu się nasunęła wyborna sposobność zwiedzenia Włoch. Zresztą, zawsze czuł daleko więcej pociągu do naukowych badań i do autorstwa, niż do akademicznego nauczania.

Już w r. 1833 wydał spory tom swoich prac p. t. *Historyczne pisma*, które zwróciły na niego uwagę ludzi fachowych. W dwa lata potem, pokazał się pierwszy tom dzieła, które go od razu postawiło między najznakomitszymi pracownikami nad historją i literaturą w Niemczech i w Europie.

Dzieło to ma tytuł: *Historja narodowej poezji Niemiec*. Składa się ono z sześciu dużych tomów, a jednak miało już cztery wydania, a w piątem wyszły już dwa tomy przeszłego roku, przez samego autora znacznie przerobione i ważnemi dodatkami wzbogacone.

W uznaniu téj pracy został wezwany na nadzwyczajnego professora do uniwersytetu w Hejdelbergu, lecz ulegając namowom swoich przyjaciół Dahlmana braci Grimmów przyjął posadę zwyczajnego professora przy uniwersytecie w Getindze, dokąd przeniósł się z młodziutką żoną, którą przed kilka miesiącami poślubił.

Zaledwie rozpoczął swoje prelekcje, spadło na niego wielkie nieszczęście. Po śmierci Wilhelma IV króla angielskiego w r. 1837 Hannower dostał się jego bratu Ernestowi Augustowi, który zmienił dawną formę rządową z pokrzywdzeniem politycznych swobód i materjalnego bytu kraju. Narobił sobie przez to wielu niechętnych, a najenergiczniéj wystąpili professorowie gettingskiego uniwersy—tetu: to też siedmiu z pomiędzy nich utraciło swoje miejsca, a trzech, to jest Gervinus, Dahlmann i Jakób Grimm mieli wzbroniony pobyt w państwach nowego władcy.

Od tego czasu nazwisko i osoba Gervinus'a, stało się chorągwią liberalnego stronnictwa w Niemczech.

Przywiedziony tym sposobem do bezczynności, pojechał drugi raz do Włoch i przebył tam półtora roku wraz z żoną. Powróciwszy do ojczyzny, osiadł w Hejdelbergu w swojéj prawdziwie *alma mater*, i rzadko się ztąd wydalał. Mieszkał naprzód w ładnéj willi nad Neekarą, a potem kupił sobie w mieście mały ale schludny domek przy banhofie, gdzie go odwiedzali i swoi i cudzoziemcy, czy to głośni autorzy, czy to żywo zajmujący się naukami i polityką.

W r. 1844 ofiarowano mu znowu katedrę zwyczajnego professora w Hejdelbergu, ale nie chcąc już ścieśniać się żadnemi urzędowemi obowiązkami, przyjął miejsce jako honorowy professor. Miewał znowu prelekcje o nowożytnéj literaturze, historji i polityce, a słuchaczów często bardzo sala objąć nie mogła. I te prelekcje nie długo trwały bo już w r. 1849 usunął się dobrowolnie z uniwersyteckiéj katedry.

Tem ważniejszą i świetniejszą była jego działalność jako autora.

Obok wykończenia i drugiego wydania Historji poezji narodowéj Niemiec, zaczął brać udział coraz żywszy w praktycznych zadaniach owych czasów, to jest w polityce.

W r. 1845 niemiecko-katolicki ruch wywołał broszurę Gervinus'a p, t. *Posłannictwo niemieckich katolików*, w któréj określa religję jako najwyższą moralność i w tym duchu radzi poczynić nowe reformy.

Kiedy znowu w r. 1846 Chrystian VIII w swoim *Otwartym liście* chciał nadelbańskie księstwa przyłączyć do Danii na zawsze, Gervinus wystosował piśmienną odezwę do Szlezwig—Holsztynu, która podobno pierwsza dała znak do oderwania tych księstw od Danii, co też w 18 lat potem rzeczywiście nastąpiło.

W r. 1847 w sporéj broszurze p. t. *Pruski rząd i patent z 3 lutego 1847 r.* dowodzi, jakie jest zadanie pruskiéj polityki w stosunku do Prus i do całych Niemiec, i pokazuje, że rząd pruski wprost przeciwnie sobie poczyna.

W tym samym roku stanął na czele przedsięwzięcia, mającego zebrać w jedno ognisko wszystkie siły stronnictwa, które oddawna już pracowało nad liberalnym rozwojem i jednością Niemiec, ale związkową. Ogniskiem tem stało się pismo perjodyczne p. t. *Niemiecka Gazeta* któréj redaktorem został Gervinus i umieścił w niéj wiele artykułów, wywierających niezmierny wpływ na wyrobienie opinii między wykształconemi klassami, szczególniéj w południowych Niemczech.

Wypadki w r. 1848 porwały za sobą Gervinus'a. Został członkiem Przygotowawczego Parlamentu a miasta hanzeatyckie umieściły go między 17 mężami zaufania, wybranych do obrony interesów ludu na Sejmie Związkowym, na którego ukonstytuowanie najwięcéj wpłynęli Gervinus i Dahlmann.

Był też posłem w Zgromadzeniu Narodowem, ale prędko złożył swój mandat—już to dla tego, że nie był kontent z kierunku, jaki na Zgromadzeniu sprawa narodowa przybierała, już też i dla tego, że jako spokojny i pilny badacz, nie umiał wywijać się między ludźmi, nie miał owéj żywéj i ognistéj wymowy tak potrzebnéj parlamentarnemu mówcy:—był więcéj rozmyślającym i milczącym.

Kiedy wszystkie nadzieje liberalnego stronnictwa upadły, usunął się zupełnie Gervinus z politycznego pola i powrócił do naukowych badań i autorstwa.

W r. 1849 pokazało się jego czterotomowe dzieło *O Szekspirze*, które w krótkim czasie miało trzy wydań. Praca ta jest apoteozą angielskiego dramaturga, w któréj Gervinus, z samych dzieł Szekspira, pokazuje jak dobrze rozumiał i czuł autor Hamleta rzeczywiste życie, i jak wszędzie jest estetycznym i moralnym, chociaż często pozornie grubiańskim i rozpustnym.

Najważniejszem jednak dziełem Gervinus'a, jest jego *Historja 19-go wieku od kongressu Wiedeńskiego*. Cośmy już wyżéj powiedzieli, to się jeszcze dobitniéj pokazuje w tem dziele,—owe połączenie politycznéj historji z historją literatury. Dla objaśnienia téj pracy napisał wstęp do niéj i wydał go osobno p. t. *Wstęp do Historji 19-go wieku*. Żywość z jaką się tu w reakcyjnéj polityce odzywa, stanowczość z jaką twierdzi, że Europa i Niemcy muszą koniecznie, prędzéj czy późniéj, dojść do postępowego liberalizmu, ściągnęły na niego przykre prześladowania. Nie tylko zabroniono mu uczyć, ale wytoczono mu nawet proces; sąd jednak uniewinnił go.

Pierwszy tom Historji 19-go wieku pokazał się w r. 1855, ósmy i ostatni w r. 1866 doprowadzony do Rewolucji lipcowéj i do bezpośrednich jéj następstw. Jestto owoc zdumiewającéj pracy, wszechstronnego badania, przenikliwego wzroku, wielkiéj znajomości ludzi,a—obok tego zaleca się rzadkim przymiotem to jest zajmującem przedstawieniem opowiadanych faktów i filozoficzno moralnych wywodów.

Gervinus był także wielkim amatorem i znawcą muzyki. Nie tylko lubił słuchać, ale śledził, jako historyk i filozof, za jéj rozwojem i wpływem na ludzkość. Przechylał się jednak widocznie ku klassycznéj muzyce, a między wszystkimi mistrzami najwięcéj stawiał Händla, którego pamięć, jeżeli wolno tak powiedzieć, wywołał z przeszłości i z zapomnienia w dziele p. t. *Händel i Szekspir*.

Zdrowie Gervinus'a już od kilku lat było mocno nadwątlone; ale pomoc najzdolniejszych lekarzy utrzymywała go w tak dobrym stanie, że mógł ciągle czytać i pisać. Tem więcéj przerażającą była wiadomość o jego śmierci, która nastąpiła po kilkodniowéj chorobie. Wszystkie dzienniki niemieckie doniosły o téj wielkiéj stracie, z dołączeniem do tego wspomnika mniéj więcéj obszernych biografji i krytycznych rozbiorów dzieł tego niezmordowanego pracownika.

Dalszy ciąg opisu N. 30.

N. 7. Chusteczka muślinowa z koronką.

Model ten, odpowiedni szczególniéj na chusteczki z kolorowéj lub czarnéj jedwabnéj grenadiny, krepy lub gazy z odpowiednią koronką i kolorową wstążką, składa się z kawałka muślinu, wykrojonego chusteczkowo i zaokrąglonego przy wykroju szyi, a spiczastego na końcach. Długość górnych brzegów wynosi przez połowę 45 centy. dolnych 58 centym. szerokość chusteczki w środku wynosi 15 centymetrów.

Chusteczka oszyta w około 1 i pół centy: szeroką tiulową wstawką, któréj wzory podaliśmy w N. 29 pod ryciną 22 i 23 zakończona jest od dołu muślinowem plisowaniem, 6 cent. szerokiem, zwężonem przy końcach, oszytem również u dołu wstawką tiulową z ładną 6 cent. szeroką koronką. Koło wykroju szyi dana 2 i pół cent. szeroka koroneczka. Końce chusteczki, krzyżujące się z przodu, pod kokardą z rypsowéj kolorowéj wstążki i czarnéj aksamitki, są trochę przefałdowane.



N. 1. Tiulowa woalka z końcami, przyozdobiona wyszyciem koronkowem i perełkami.



N. 3. Pelerynka z jedwabnéj gazy, przystrojona koronką. Przód.



N. 4. Pelerynka z jedwabnéj gazy, przystrojona koronką. Plecy.



N. 5. Kołnierz i rękawki muślinowe z aplikacją haftowaną. Przód.



N. 2. Woalka tiulowa z końcami. Zobacz ryc. 1.



N. 6. Kołnierz i rękawki muślinowe z aplikacją

N. 8—9. Wyszycie na tiulu opis przy rycinie 1—2.

N. 10. Lambrekina.

Haft kolorowy z plecionką i podłożeniem.

Materjał: popielata skóra na tło; ciemno brązowy aksamit na podłożenie, cienka sznelka, gruby jedwab kordonkowy i cienki jedwabny sznureczek brązowy do cieniu; popielaty sutasz; złota plecionka, perełki stalowe; kwasty jedwabne 4 i pół centy. długie brązowe, brązowa wstążeczka 2 cent. szeroka; białe szklanne guziki.

Brązowe cienie w jakich odrobiony jest na popielatéj skórze szlak z dodaniem złotéj plecionki, złotego sznureczka i stalowych perełek, pasować mogą zarówno ładnie do zielonego, białego lub pąsowego sukna albo materji; można także haftować cieniami do koloru tła.

W każdym ząbku, w otoczeniu z jasno brązowéj sznelki i trochę ciemniejszego jedwabnego sznureczka, na podłożeniu aksamitu, odrobiony jest bukiecik, sznureczkiem złotym i stalowemi perełkami.

Arabeski tworzące ramki koło bukietów, wyszyte są złotą plecionką. Szlaczek zakończający lambrekinę w górze i u dołu składa się z naszycia popielatego sutaszu, otoczonego brązową sznelką; prążki poprzeczne odrobione są długim ściegiem, brązowym jedwabiem.

Górny brzeg lambrekiny, zakończony riuszą z brązowéj wstążki, ozdabiają białe, szklanne guziczki. W zagłębieniach ząbków, wszywają się brązowe kwaściki.

N. 11—15. Oszycia

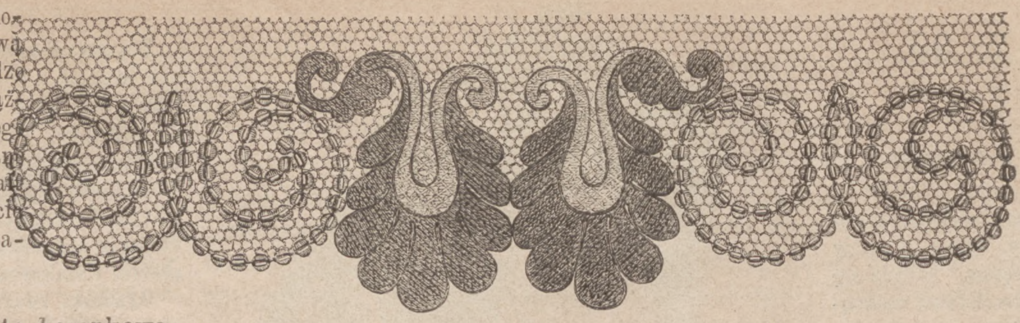
do sukien, bluzek, fartuszków, z robotą szydełkową, torsadką i dzierganiem.

Podajemy w dzisiejszym i w przeszłym N-rze rozmaite



N. 7 Pelerynka muślinowa garnirowana koronką.

oszycia do sukien, z torsadką robioną na widełkach robotą szydełkową w kolorze écru lub białym, co bardzo bogato wygląda na plisach lub wstążce. W miejsce aplikacji atłaskowego haftu, do muślinu i tiulu zastosowane być mogą plecionki koronkowe, haft dziergany, siatka gipiurowa i wyszycia na tiulu — do czego rozmaite dołączamy wzory.

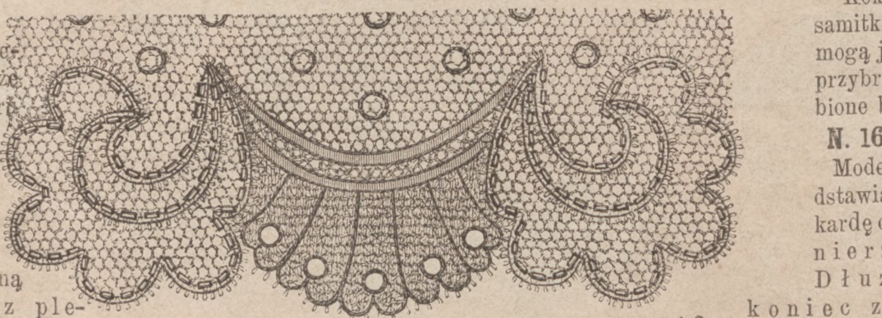


N. 8. Deseń na wyszycie tiulu. Opis przy ryc. 1 i 2.

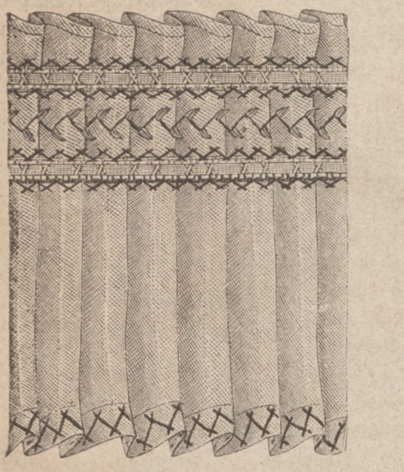
N. 11. Plisowanie przeszyte koronkową

plecioneczką i ściegami jedwabnemi.

Taki układ garnirunku, odpowiedni jest szczególniéj do sukni z batystu; ścieg cierniowy może być wyszyty czarną lub kolorową nitką; do écru różnokolorowemi nićmi lub w cieniu materjału.



N. 9. Deseń na wyszycie tiulu. Opis przy rycinie 1 i 2.

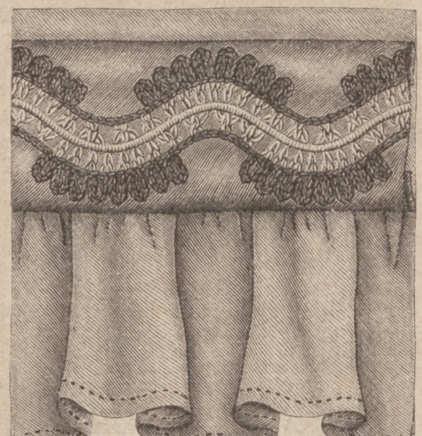


N. 11. Oszycie do sukien z plecioneczką i ściegami jedwabnemi.

N. 12. Wolant z plisą

ozdobioną wyszyciem z plecionki mignardise i roboty szydełkowéj.

Ząbki z plecionki mignardise, obrobione bawełną écru, tworzą się przez robotę szydełkową. Każdy ząbek liczy 8 p. z 4 o. pow., które przyrabia się 1 o. śc. za pikot plecionki, o. śc. przerobione po skończeniu 8 pow. zajmuje się w trzy pikoty plecionki. W zagłębieniach ząbków robi się po 2 oczkach pow: 3 o. śc. zajmowane każde w 3 pikoty z plecionki, a rozdzielane 2 o. pow. Pikoty z drugiéj strony plecionki, robią się tą samą koleją. Rycina jeszcze dokładniéj tłumaczy robotę. Wolant spadający z pod pliski układa się w kontrafałdy.

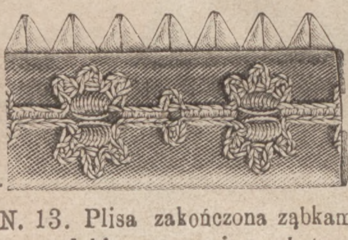


N. 12. Wolant z plisą ozdobioną wyszyciem z plecionki mignardise i roboty szydełkowéj.

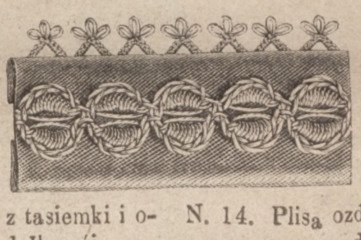
N 13. Plisa zakończona ząbkami

z tasiemki i ozdobiona naszyciem roboty szydełkowéj w węzły nawijane.

Na pierwszą połowę naszycia szydełkowego robi się * 3 p. po 4 o. pow., 1 węzeł z 12 nawinięć, który przyczepia się w trzeci p., daléj 3 o. pow.: 1 p., 3 o. pow. i wrócić od * gwiazdki. Przy drugiéj połowie roboty w każde 3 pow. o. potrzeba robić 3 o. ściste.



N. 13. Plisa zakończona ząbkami z tasiemki i ozdobiona naszyciem roboty szydełkowéj.



N. 14. Plisa ozdobiona naszyciem i ząbkami szydełkowemi.

N. 14. Plisa ozdobiona

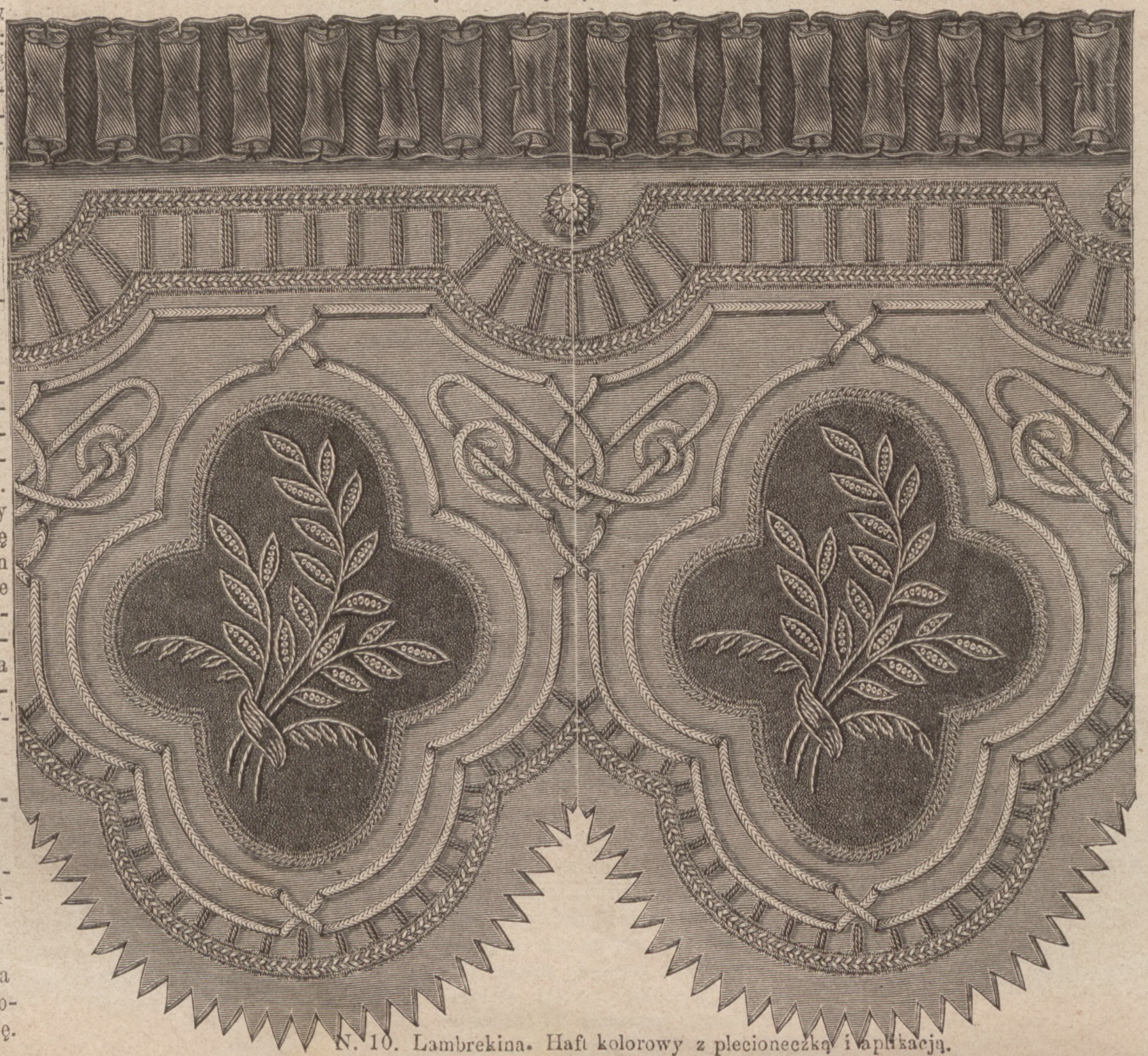
naszyciem i ząbkami szydełkowemi.

Każdy z ząbków, przyszytych na plisce i odrobionych z grubéj bawełny écru lub czarnego jedwabiu, liczy 4 o. pow. i 1 nawijany 13 razy węzeł, który zarzuca się w czwarte o. pow. w ten sposób, iż trzy pozostałe tworzą otoczenie koło węzła. Drugi rząd przeciwległych ząbków spaja się 1 o. śc. między węzłami. Pikoty i ząbki frywolitowe.

N. 15. Wolant w kontrafałdy

z zakończeniem i przeszyciem torsadki na widełkach.

Wolant muślinowy ma od góry i u dołu założony obrąbek i zakładkę.



N. 10. Lambrekina. Haft kolorowy z plecioneczką i aplikacją.

Przez ułożenie w kontrafałdy i przeszycie plisą, tworzy się zarazem i nagłówek.

W Nrze. 29 Tygodnika podaliśmy na rycinach 11—14 wzory do roboty torsadki na widełkach. Ryciny 11 i 14 wskazują torsadki do naszycia na plisy, N. 12 i 13 podają ząbki ażurowe, do zakończenia wolantu u do. Wstawki naszywa się na kolorowéj wstążce lub materji wyciętéj w ząbki.

N. 16—17. Dwie kokardy.

Kokardy te odrobione z rypsowéj wstążki i aksamitki w jednym lub odmiennym kolorze, służyć mogą jako szarfy do paska, kokardy do głowy lub przybrania sukni. Podane na ryc: 16—17 odrobione być mogą w rozmaitéj wielkości.

N. 16. Kokarda z gładkiéj wstążki.

Model przedstawia kokardę do kołnierzyka. Dłuższy koniec z aksamitki 7 cent. szerokiéj, długi 30 c. ścięty jest skośno u dołu, na dwa krótsze pukle 9 i 13 cent. długie, zakłada się trochę aksamitka pod spód i przyczepia. Końce rypsowe wysiepane wzdłuż na 8 centy: są 13 i 25 centy. długie pukle w kokardzie mają po 7 cen. długości.

Kokardę i końce przytwierdza się do sztywnego tiulu i przepina węzłem.



N. 15. Wolant w kontrafałdy naszyty pliską wyszywaną. Zobacz ryc. od 11—14 w N. 29 T. Mód.

N. 17. Kokarda

z gładkiéj i przerabianéj wstążki.

Jak to wskazuje rycina do aksamitki ciemniejszéj przyszyta jest jasna wstążka. Kolory tego modelu są fijołkowy i słomkowy. Kokarda taka może być noszona na głowie, z przodu po nad czołem, lub z tyłu jako zakończenie warkoczy.

N. 18—19. Deseń

na poduszkę do kanapy robotą krzyżową.

Na rycinie 19 podajemy czwartą część deseniu i wytłomaczenie kolorów na poduszkę, robioną na kanwie, włóczką angielską. Rycina 18 przedstawia całość tego gustownego deseniu. Dodamy tylko, że dwa cienie piaskowego jedwabiu i trzy cienie włóczki piaskowéj, stanowić powinny wspólnie stopniowanie w czterech odcieniach jednego koloru.

N. 20. Ubranie z tuniką

i kaftanikiem muślinowym.

Rycina 20 przedstawia na sukni jedwabnéj kolorowéj, z wyciętym stanikiem i rękawkami w bufki, tunikę podpinaną z tyłu i kaftanik wcinany, z przodu 50, z tyłu 58 cen. długi, przybrany kokardami w kolorze sukni. Na taki rodzaj vêtement, odpowiedniego do każdéj sukni, użyć można czarnéj grenadiny, bareżu nicianego écru, popielate-

go batystu i tym podobne wyroby. Podłużny wykrój szyi i brzegi kaftanika oszyte są wstawką batystową haftowaną 4 cent. szeroką i koroneczką marszczoną 3 i pół i 1 cent. szeroką. Ranwers odznaczony na kaftaniku wstawką batystową i tiulową, oszytemi szerszą i węższą koroneczką. Przy szerokich rękawach dany takiż sam garnirunek. Przy tunice odszytéj podług formy rycina 32 w N. 18 Tyg. Mód, wstawki i koronka są odpowiednio szersze.

N. 21. Suknia

z wo antami w rzucik.

Model ten z tuniką i stanikiem z baskiną odrobiony jest z piaskowego, bawełnianego bareżu.



N. 16. Kokarda z gładkiéj wstążki.

W o l a n t y haftowane biało, marszczone są na sznurek z odznaczeniem nagłówka 2 cent. szerokiego. W N. 29 na ryc. 21 podaliśmy deseń wyszycia zakończającego wolanty, podług którego można wyhaftować je własnoręcznie. Duże, wypukłe muszki przyozdabiają tło wolantu, dolne zakończenie stanowią szlaki w y s z y t e n a t i u l u, o b s z y t e 3—4 i pół cent. szeroką koroneczką, złączone z tłem wolantów i wyszyciem łańcuszkowym, jakie widzimy na ryc. 21.

Przedni bryt sukni wraz z dwoma bocznemi, oszywa się wolantami 38 i 11 cent: szerokiemi. Tylne bryty naszyte są w górę 4—5 wolantami, po 22 cent. szerokości, których boczne brzegi przykrywa wolant 11 cent. szeroki. Takiż wolant otacza tunikę, podpinaną z tyłu i na bokach. Bryt przedni tuniki jest 55 cent. w środku, 58 centy. na bokach długi, 67 centy. u dołu i 19 centy. w górze, szeroki. Dwa boczne bryty 57 centy: szerokie u dołu i 14 w górze dwa bryty tylne trochę skośno ścięte o d g ó r y m a j ą po 101 cent. długości w środku, 80 centy: na bokach, a po 70 centy. szerokości. Stanik z baskiną oszyty jest wolantem, 9 centy. szerokim, z przodu zapina się na guziki haftowane biało.

Szerokie rękawy s ą wzdłuż ku łokciom na 15 cent. rozcięte. Kapelusz okrągły pleciony z białego łyczka, ma główkę 7 centy. dużą, a rondko 14 centym. szerokie i jest z wierzchu i od spodu powleczony białą krepą. Główkę przewiązaną wązką aksamitką czarną, otacza bufa z krepy, 6 cent. szeroka, któréj brzeg dolny przykrywa k r e powa riusza. Brzeg rondka jest także riuszą oszyty. Czarna aksamitna kokarda ze s ł o m k o w ą sprzączką wpięta jest z boku. Związane z tyłu końce są ze wstążki 9 cen. szerokiéj.

N. 22—23. Kostium

marynarski do spaceru lub podróży.

Tunika i spódnica niesięgająca ziemi, wszyte są razem do paska 4 centy. szerokiego. Krój spódnicy i kaftanika znajdą czytelniczki w przeszłych arkuszach dodatkowych.

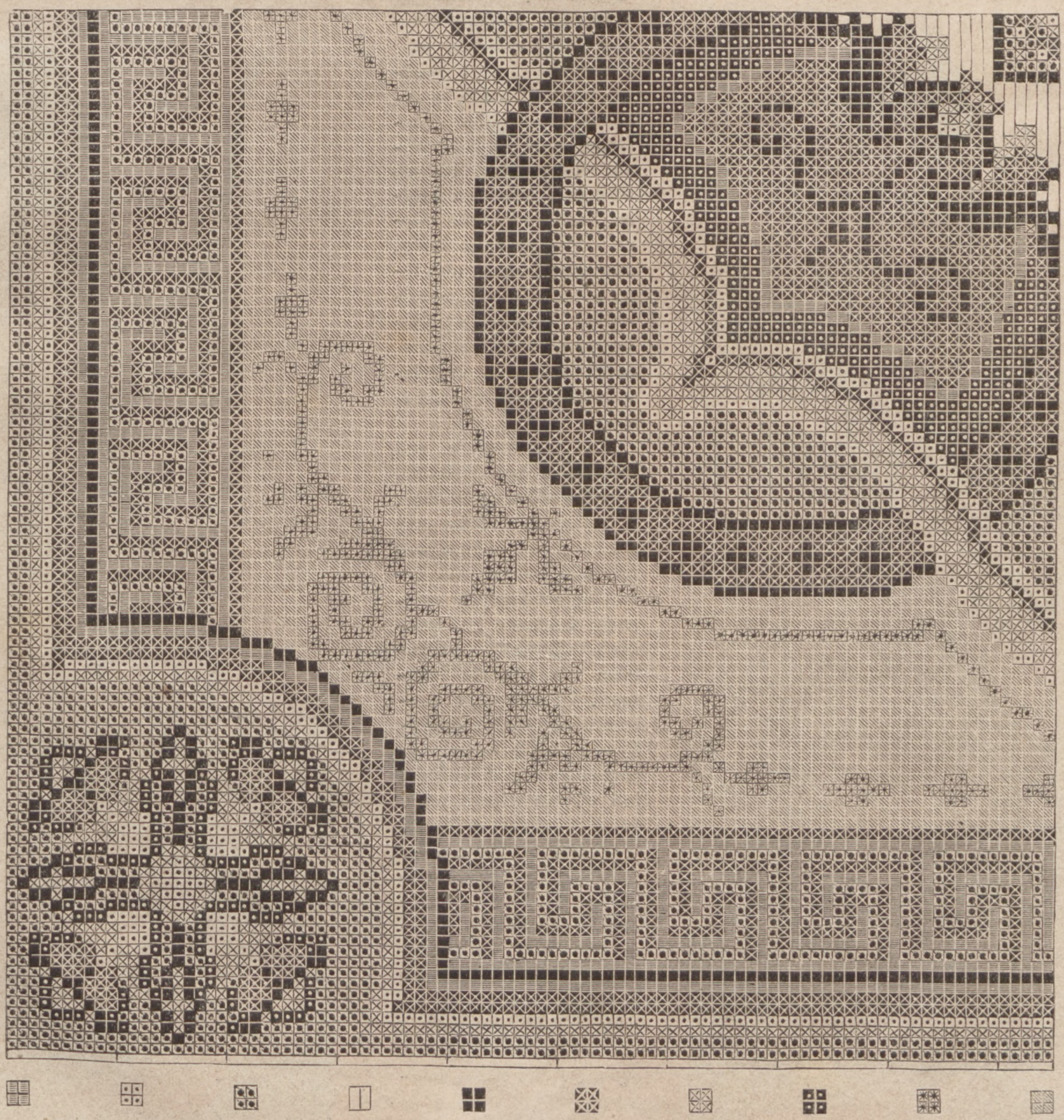
Tunika podpinana z tyłu na guziki i pentelki naszyte od spodu, składa się z przedniego bryta ściętego skośno 37 centy. szerokiego w górze, a 80 centy. u dołu długość zaś wynosi 52 centy. Do tego bryta wszywają się boczne skośne bryty 17 centy: w górze, 40 centy. u dołu szerokie, 80 centy. długie. Na długości 25 centy. przyszyte są gładko; wyżéj zaś aż do paska marszczone. Tylne bryty 80 cent. długie mają razem 114 centy. szerokości.

Marynarski kołnierz przyszyty do kaftanika wyciętego podłużnie, tworzy z przodu ranwersy; z tyłu jest on 10 centy. szeroki, a 24 centy długi. Rycina 23 podaje całkowity kostium z szarego płótna, przybrany niebieskiemi płóciennemi pliskami, 2 i pół cent. szerokiemi, z wypustką écru pół centy: szeroką. Wielkie guziki, pokryte niebieskiem płótnem, dopełniają przybrania. Kostjum na rycinie 22 podany, jest odszyty z niebieskiego płótna, przybrany bogato koronką gipiurową. Koronka gipiurową przyszyta brzegiem pliska z materjału sukni, wstawka zaś przytwierdzona z obu brzegów sutaszem. Odpowiednio do kostjumu N. 23 i kapelusz marynarski powleczony jest szarem płótnem i opasany niebieskiemi końcami.

Do sukni przedstawionéj na ryc. 22 kapelusz jest słomkowy, przybrany czarną i niebieską wstążką, niebieskiemi bławatkami, białym rumiankiem i pąsowym makiem.



N. 18. Poduszka na kanapę robotą krzyżową. Zobacz deseń rycinę 19.



N. 19. Deseń na haftowaną poduszkę. Zobacz rycinę 18.

O ubiorach.

Jedną z dogodności obecnéj mody jest to, że przy małej ilości dobrze dobranych sukien, można nieskończenie urozmaicać ubranie. Mając kostium spacerowy popielaty, suknię czarną i parę sukien, lub tylko spódnic kolorowych, vêtement z białego muślinu, z czarnéj grenadiny, i wełniane lub batystowe w kolorze écr- l u b p i a s k o w y m, a do tego jeszcze kilka kolorowych kokard do głowy i kołnierzyka, oraz szarf do sukni, można być coraz inaczéj, świeżo i pięknie ubraną, byle tylko gust dobry przewodniczył doborowi i układowi stroju. Na spacery można stosownie do koloru szarf zmieniać kokardy u parasolika, co o wiele podniesie wykwintność stroju. Vêtement z wyrobów w duży kolorowy deseń w guście rokoko, które pojawiały się już w zeszłym roku, obecnie bardzo się upowszechniły, a że otrzymały przywiléj mody, więc ganić ich nie będziemy, dodamy tylko, że wszelkie różnokolorowe desenie i girlandy, wybierane być powinny z wielkim gustem i umiejętności, raz dla tego że wszelkie mięszaniny kolorów, choć ładne w sztuce częstokroć bardzo tracą w sukni, powtóre że ubrania jaskrawe i odznaczające rzadko cechują się wykwintną i prawdziwą elegancją, do któréj nie tylko potrzeba żeby strój był modny i ładny, ale jeszcze żeby był w harmonji z osobą, która go nosi.



N. 17. Kokarda z gładkiéj i przerabianej wstążki.

Modne są także różne rodzaje i gatunki wyrobów w ładny d r o b n y rzucik lub ciągniony deseń różno kolorowy albo jednokolorowy do cienin. Wyroby mające tło białe a deseń we wszelkich odcieniach koloru popielatego, orzechowego i écru, zarówno ładne są na całe ubranie jak i na vêtement do sukni czarnéj lub niebieskiéj. P r z y sukniach w deseń kolorowy szarfy i kokardy zgadzać się powinny z kolorem dominującym: Czarne aksamitne, stosowne są d o wszystkich sukien i przy wszystkich ładnie wyglądają.

Suknie białe modniejsze są w tym roku niż kiedykolwiek, modę tę wywoływały w c z e s n e ciepła. Nic b o w i e m piękniejszego nad białą lekką suknię w czasie dni jasnych, ciepłych i pogodnych. Że zaś takie d n i najmniéj dopisują gdy najwięcéj na nie liczymy, dobrze więc do sukni białéj przysposobić pod spód kolorową, w jednym z licznych odcieni écru, albo też niebieską lub lila. Co do kolorów jasnych, to jak wiadomo moda daje co rok innemu pie r w s z e ń s t w o. Przed paru laty panował zielony, potem bordo, następnie lila, a teraz wszystkie odcienia niebieskiego od czystego lazuru, aż do wodnisto, szaro sino i czerwonawo niebieskich.

W ogóle blade kolory mają w tym roku nad innemi pierwszeństwo, zwłaszcza w połączeuiu z kolorem czarnym albo popielatym.



N. 20. Ubranie z tuniką i kaftanikiem muślinowym.

W obecnéj chwili, gdy tak wiele osób odbywa wycieczki na wieś lub do wód zagranicę, na dobie będzie wspomnienie i rada co do ubrań podróżnych. Tak płaszczyki jak kostiumy do tego celu przeznaczone, najlepiéj robić z materjałów lekkich czysto wełnianych w kolorze popielato-stalowym, piaskowym lub brązowym, bo te na kurzu i słońcu nie tak prędko się zmieniają i nawet na deszczu nie podlegają natychmiastowemu zniszczeniu.

Nie mniejszą uwagę zwracać wypada na krój sukni, która w podróży nie powinna krępować ruchów, ani narażać na przymus i niewygodę. Stanik i rękawy najlepsze są gładkie, co najwięcéj plisą lub falbaną oszyte. Do spódnicy najwłaściwsze także plisy gładkie albo marszczona falbana, bo w plisowanie kurz nabija się bardzo i riusze ulegają zgnieceniu. Tiunika powinna być podpięta na wstążki, bo taką najłatwiéj rozpiąć i gładko złożyć. Najładniejsze i najpraktyczniejsze dopełnienie ubrania stanowią peleryny pojedyncze lub podwójne.

Zalecamy także torbeczki jako praktyczne przypinane do paska, które podaliśmy w N. 26 Tygodnika. Okrągły z rondem średniéj wielkości kapelusz jest najwłaściwszy, zbyt wielkie lub zbyt małe są zarówno nie dogodne i niepraktyczne. Najmodniejsze do podróży lub do wód są kapelusze z batystu, tego co kostium koloru. Parasolik z laską, czarny jedwabny lub z tego co suknia wełnianego wyrobu i buciki wysokie kozłowe na niskich obcasach, stanowią najwłaściwsze dopełnienie ubrania.

Za nieodzownie potrzebną uważamy krótką i wązką dolną spódniczkę, z białéj lub kolorowéj flanelki; w miejsce zaś spódnic białych tak łatwo się brudzących zalecamy kolorowe ze szlakiem haftowanym jedwabiem lub wyszyte sutaszem. Płaszczyk z nieprzemakających materjałów jest także konieczny, można go zapiąć paskiem lub włożyć w pokrowiec, który podaliśmy w N. 26 Tygodnika. Tam także podana jest forma płaszczyka bez rękawów złożonego z peleryny i spódnicy, a w N. 28 zamieszczony jest płaszczyk Syryjski, który jako dogodny do zarzucania i pakowania, bardziéj jest używany niż formą paletotową.



N. 21. Suknia z wolantami w deseń. Zobacz ryc. 21 w N. 29 Tyg. Mód.



N. 22. Kostium marynarski do podróży lub spaceru.



N. 23. Kostium marynarski do podróży lub spaceru.